

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 23 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

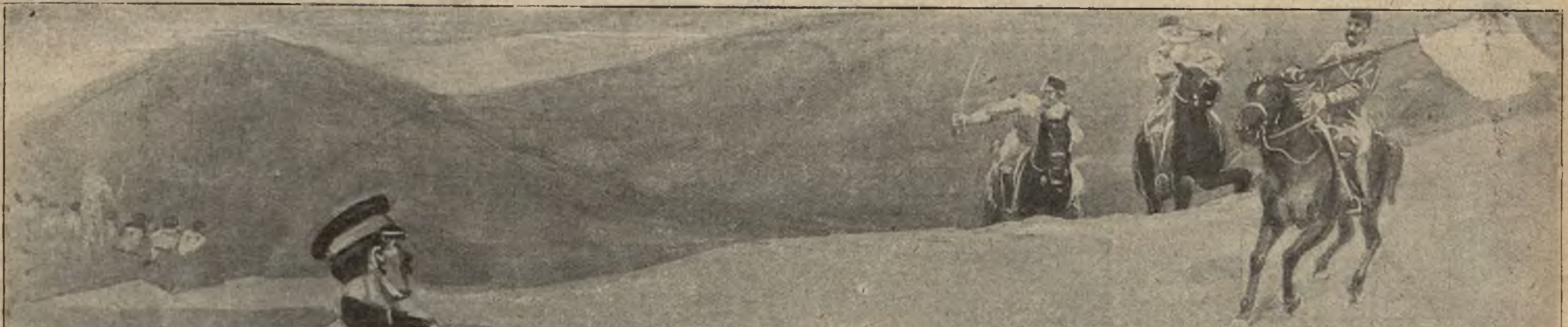
Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. Kraków, 9 sierpnia 1913. Nr. 32.

Pokój na Bałkanach.

(Treść na str. 2).



Pokój na Bałkanach.

(Do illustracyi tytułowej).

Wypadki na Bałkanach zmieniają się, jak w kalejdoskopie, a dyplomatom europejskim gotują wciąż nowe niespodzianki. Niespodzianką było zarówno powstanie związku bałkańskiego, jak i jego świetne zwycięstwa w wojnie z Turcyą. Państwa bałkańskie zdumiały świat niezwykłymi sukcesami swego oręża, a największą sławą okryli się Bułgarzy. To też zdawało się, że wśród zwycięzkich państw bałkańskich pierwsze miejsce zajmie Bułgarya.

Ale i tu przyszła nowa niespodzianka: druga wojna bałkańska już pomiędzy niedawnymi sprzymierzeńcami. Kto ją sprowokował, trudno dziś z całą pewnością orzec, to pewna jednak, że powstał na Bałkanach nowy sojusz, zwrócony już nie przeciwko Turcyi, lecz Bułgaryi. Zaatakowana ze wszystkich stron, nawet przez rozgromioną Turcyę, Bułgarya musiała prosić o pokój. Ani Serbia, ani Grecya nie zdradzały jednak wielkiej ochoty do zaprzestania kroków wojennych i dopiero po długich pertraktacyach, pod naciskiem mocarstw zgodziły się na konferencyę pokojową w Bukareszcie i, zawieszenie broni. Ustały więc na razie krwawe walki i rzezie drugiej wojny bałkańskiej, a czy ten pokój na Bałkanach długo potrwa — najbliższa przyszłość to okaże. W każdym razie zaprzestanie kroków wojennych przyjęła z wielką radością Bułgarya. Po podpisaniu zawieszenia broni pospieszyli też na linię bojową parlamentarze, niosąc radosną wieść wyniszczonym armiom.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia właśnie moment przerwania walki pomiędzy Serbami i Bułgarami przez parlamentarza bułgarskiego, proklamującego zawieszenie broni.



Z kotła bałkańskiego: Konsul austro-węgierski w Salonikach, p. Kral, zwiedza ruiny zburzonego podczas walki wicekonsulatu austro-węgierskiego w Seres.

Święto pieśni polskiej w Poznańskiem.

W tych dniach odbyła się w Ostrowie w Poznańskiem wielka uroczystość śpiewacza: zjazd śpiewaków z okazyi ćwierćwiekowej rocznicy istnienia ostrowskiego Koła śpiewaczego. Na zjazd przybyły bardzo liczne towarzystwa śpiewacze z bliższych i dalszych okolic, a wiele Kół, nie mogąc przybyć licznie, przysłało delegacye. Uroczystości rozpoczęły się w niedzielę solenną mszą świętą na intencyę zjazdu, odprawioną przez prezesa Koła ks. proboszcza Zborowskiego z Ostrowa. W uroczystem nabożeństwie brały udział towarzystwa ze sztandarami. O godzinie 11 rozpoczęło się uroczyste posiedzenie



Święto pieśni polskiej w Poznańskiem: Popis drużyn śpiewaczych w Ostrowie.

jubileuszowe odśpiewaniem przez Koło miejscowe pieśni „Witamy“. Następnie powitał prezes ks. proboszcz Zborowski przybyłych na zjazd druhów i druhny - śpiewaczki, zagajając równocześnie dłuższem przemówieniem zjazd. Sekretarz pan Ratajczak dał pogląd na działalność i rozwój Towarzystwa w ubiegłych 25 latach.

począł się koncert, a o godzinie 5 popisy Kół, które trwały aż do godziny 8. Wspólną pieśnią „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ zakończyła się ta podniosła uroczystość.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy illustracye z wiecu i popisu drużyn śpiewaczych w Ostrowie.



Za mobilizacyę: Uroczystość wręczenia odznak pamiątkowych w 13 p. p. w Krakowie.

Po sprawozdaniu wręczył ks. proboszcz Zborowski z okazyi 25-letniej przynależności do Towarzystwa-jubilata członkom założycielom pp. Waldowskiemu i Adamskiemu nagrody, ofiarowane tym dwom członkom przez Towarzystwo. Nastąpił potem szereg życzeń składanych ze strony różnych towarzystw. Na wniosek ks. proboszcza Zborowskiego mianowano p. Bolesława Dębińskiego z Poznania, w dowód uznania zasług jego wobec pieśni polskiej, członkiem honorowym i uwiadomiono go o tem telegraficznie. O godz. 1 i pół stanęły do pochodu przez miasto wszystkie przybyłe na zjazd Towarzystwa śpiewacze, delegacye i Towarzystwa miejscowe ze sztandarami i z muzyką na czele. Pochód był olbrzymi i imponujący. O godzinie 4 roz-

Katastrofa kolejowa w Danii.

Wszelkie zdobycze techniczne, to także walka — walka, prowadzona z ślepemi siłami przyrody, pochłaniająca tak samo, jak wojna, liczne ofiary. Stałem żniwem śmierci znaczą swój postęp i zdobycze komunikacyi. Na punkcie szybkości przenoszenia się z miejsca na miejsce doszliśmy już wprawdzie do znakomitych rezultatów, ale za ten postęp ludzkość musi płacić ofiarami niemal codziennych katastrof, które zdarzają się mimo wszelkich ostrożności, stosowanych przy budowie i organizacyi kolei. Wypadki te są nieraz powodowane zjawiskami zupełnie nieoczekiwanemi i niedającemi się przewidzieć.

Taką była ostatnia katastrofa kolejowa pod Bramminge w Danii. Wskutek zbytniego rozgrzania szyn kolejowych przez promienie słońca, rozprężyły się one tak, iż wygiąwszy się, obluźniły gwoździe je przytrzymujące. Pociąg ekspresowy, dążący z Kopenhagi do Esbjerg wpadł na nie i wyskoczył na tor. Lokomotywa przewróciła się na bok, zaś pierwsze za nią wagony zbiły się w kupę, tworząc stos gruzów. W rozbitych wagonach zginęło na miejscu 16 pasażerów, a przeszło 70 osób odniosło rany mniej lub więcej ciężkie.

Skutkiem wypadku zniszczone zostały druty linii telegrafu i telefonu, wobec czego wiadomość o wypadku nadeszła do najbliższej stacyi ze znacznem opóźnieniem. Jeden z- asystentów kolejowych jadący pociągiem, nieprzytomny prawie, przybył ze straszną wieścią do Bramminge. W przeciągu dwóch godzin około 30 lekarzy było na miejscu wypadku, gdzie tymczasem rozgrywały się wstrząsające sceny. Zona prof. Paulliego z Kopenhagi, która straciła obie nogi i niebawem zmarła, przed śmiercią dawała ostatnie polecenia i pozdrowienia dla męża. Spiewak operowy z Düsseldorfu, Barré, zmarł podczas opa-



Święto pieśni polskiej w Poznańskiem: Wiec i zakończenie zjazdu śpiewaczego w Ostrowie.

trunku. Z obu jego nóg, obdartych z ciała, sterczały tylko połamane kości. Barré prosił lekarzy o morfinę, aby mógł na chwilę odzyskać siły i pożegnać się z żoną.





Katastrofa kolejowa w Danii: Lokomotywa i rozbite wagony wykolejonego pociągu.

Naoczny świadek katastrofy, budnik kolejowy Jochumsen, tak opisuje jej przebieg: „Stałem, jak zwykle, na posterunku, gdy usłyszałem dzwonek telefonu, a jednocześnie ukazał się pociąg. Wtem nagle rozległ się straszny trzask i w tem miejscu, gdzie przed chwilą widziałem pociąg, buchnął ku niebu wysoki słup czarnego dymu i pyłu. Przerażony pobiegłem na miejsce. Jedna lokomotywa stała na torze, druga runęła wraz z wagonami z nasypu".

Illustracye nasze przedstawiają rozbitą lokomotywę i wagony wykolejonego pociągu.

Za mobilizacyę.

Jak już donosiliśmy w poprzednim numerze, epilogiem zawieruchy bałkańskiej, podczas której Austrya musiała zmobilizować kilka swych korpusów, było ozdobienie krzyżami pamiątkowymi wszystkich tych oficerów i żołnierzy, którzy w latach 1912 i 1913 czynnie w armii służyli.

Odznaczenie to przyznano także i rezerwistom, o ile w tym czasie powołani byli w szeregi przynajmniej na cztery tygodnie.

W ubiegłą niedzielę odbyła się i w Krakowie uroczystość wręczenia odznak pamiątkowych tutejszej załodze.

O godzinie dziewiątej rano zebrali się w wielkiej sali kasyna wojskowego jenerałowie, sztab i samodzielni komendanci. Po stosownej przemowie komendant krakowskiego korpusu, jenerał kawaleryi Böhm Ermolli, udekorował każdego z osobna.

W godzinę później powtórzyło się to samo we wszystkich koszarach i urzędach wojskowych, ze szczególniejszą zaś pompą w kasarni arcyksięcia Rudolfa, gdzie stoi jeden batalion trzynastego pułku, tak zwanych „krakowskich dzieci".

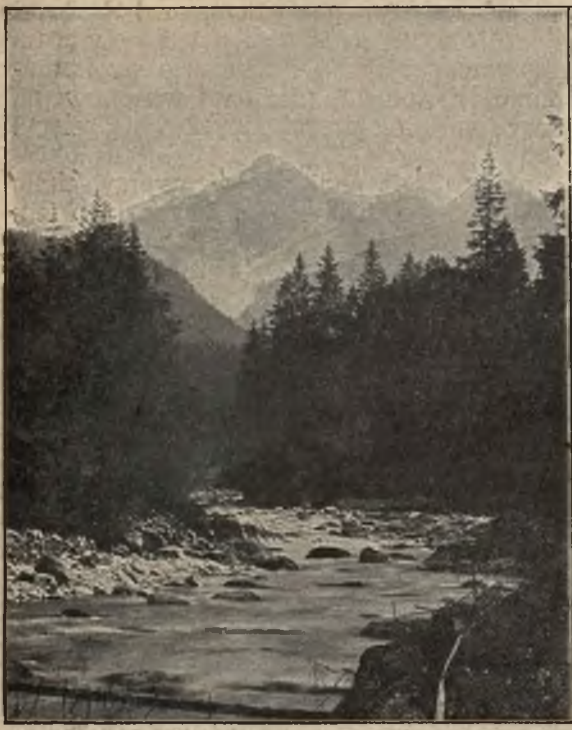
Tu przemawiał podpułkownik Kandler po niemiecku, tłumacząc znaczenie chwili, następnie zaś jeden z kapitanów powtórzył jego słowa w języku polskim.

Uroczystość zakończyła się defiladą.

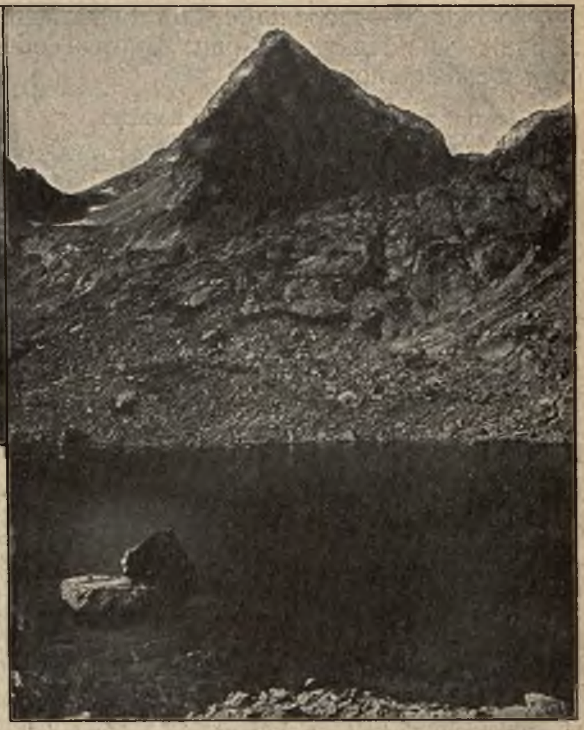




Za mobilizacyę: Dekorowanie krzyżami pamiątkowymi oficerów (u góry) i żołnierzy 13 p. p. w Krakowie.







ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

24

W tej chwili przechodziła przez salon pani Wanda, kierując się ku wyjściu w towarzystwie pana Borowieckiego.

— Ot znów nowa para! — zaśmiała się pani radczyni, — naprawdę tu, jak w teatrze.

— Istotnie byłoby jak w teatrze, — powiedziała z oburzeniem pani Porecka, — gdyby nie było tak niemoralne. Osoba z naszego towarzystwa, mająca męża tak miłego, młodego, i tak się afiszuje!

— I w dodatku jest dumna z tego, — uśmiechnęła się pani Mniewska, — i chwali się ze swą zdobyczą.

— Takie postępowanie jest niegodne mężatki, — gorszyła się pani Porecka.

Ryta, która dotychczas milczała, odezwała się niespodzianie:

— Ja nie widzę nic złego w zachowaniu się pani Jerzyckiej, zna pana Borowieckiego dawniej, nic dziwnego, że jest z nim w przyjaźni.

— Czy i pana Jedlińskiego znała dawniej? — zaśmiała się drwiąco pani Porecka, — bo podobno flirty i z nim uprawiała. Pozwoli zresztą pani, że mam swoje poglądy na tę sprawę i przy nich zostanę... Chodźmy, Madziu! — wstała z kanapki, — dobranoc paniom! — i majestatycznie wyszła.

— Ty zawsze niepotrzebnie wyrwiesz się z czemś takiem! — powiedziała gderliwie matka, — no, chodźmy spać!

XIII.

Jednego dnia pani Mniewska przyszła do obiadu rozjaśniona, a ile razy spojrzała w stronę pani Łotuskiej i Szarockiego, przewijał się na jej twarzy jakiś uśmiech zagadkowy. Widać było po niej, że jest w posiadaniu jakiejś tajemnicy i niecierpliwi się, iż nie może jej powiedzieć.

Zauważyła to pani Porecka i Madzia, obie też czekały z niecierpliwością końca obiadu, aby módz swobodnie pomówić.

Pani Łotuska z wielkiem zajęciem rozmawiała ze swym sąsiadem, Szarockim, lecz przy końcu obiadu odczuła ciekawe i uprzykrzone spojrzenia, spoważniała, szepnęła coś sąsiadowi, który natychmiast odsunął się trochę i chmurny patrzał przed siebie, odwróciwszy twarz od pań Mniewskiej i Poreckiej.

Po obiedzie usiadły panie w salonie na zwykłem swem miejscu, natomiast trochę zaniepokojona pani Łotuska nie zajęła ustronnej kozetki, lecz wrąz z panem Szarockim przechadzała się po salonie, pilnie zważając na siedzące panie. Zbyt dobrze znała to towarzystwo, ażeby nie podejrzywała, iż dotarły tam pewne wiadomości o niej, co ją niepokoiło. Ten Szarocki jest taki nieostrożny, posyła przez pokojówkę listy i kwiaty; kilka razy wyszedł od niej późną godziną, mogli go zobaczyć, podpatrzeć... i z pewnym żalem spojrzała na niego, że naraził ją na plotki. Wahała się, co lepsze, czy przyznać się, że on się jej narzuca, czy też wyprzeć się wszystkiego?

Tymczasem pani Mniewska, czując ważność swej osoby, usiadła w środku kanapki i po krótkiej krytyce niestosownie strojnej sukni pani Jerzyckiej, na co się wszystkie zgodziły, powiedziała z figlarnym uśmiechem:

— A jednak prawdą jest, że ściany mają uszy!

— I co posłyszały? — spytała ciekawie, ale z godnością, pani Porecka.

— I ktoby się spodziewał, — mówiła pani Mniewska ze sztucznym spokojem, — że tu rozwijają się najprawidłowsze romanse... zachwyty poetyckie!... intrygi z pokojówkami!... tajne schadzki... słodkie sam na sam!... i t. d. i t. d.

Starsze panie, jakkolwiek paliła je ciekawość, miały miny poważne, prawie zgorszone, że coś podobnego dzieje się pod ich bokiem; natomiast panny poróżowiały z wielkiego zajęcia tak niezwykłą sprawą.

— Zdaje mi się, — powiedziała z godnością pani Porecka, — że pani chciała mówić o flirtach, — spojrzała wymownie w stronę Madzi i Ryty, — bo romans ma w sobie coś pospolitego, coś niedającego się pogodzić z dobrem wychowaniem i urodzeniem.

Pani Mniewska uczuła się dotknięta tą uwagą i powiedziała z lekką ironią:

— Nie rozumiem, dlaczego tak niewinne słówko, jak romans, ma być niewłaściwe, są przecież arcydzieła klasyczne z napisem „un roman"... ponieważ jednak moje określenie nie znalazło łaski, możemy nie mówić o tem.

Pani Porecka spostrzegła kwaśne i zawiedzione miny słuchaczek i poświęciła swą ambicyę, mówiąc:

— Bardzo panią przepraszam, lecz miałam na myśli Balzaca „Kobietę trzydziestoletnią", a taki romans nie bardzo się nadaje do opowiadania, sama pani przyzna.

— No, zapewne...

— Cóż się tedy stało? — spytała pani Łącka zniecierpliwionym głosem.

— Leżałam jeszcze w łóżku, — zaczęła pani Mniewska, — gdy przyszła moja pokojówka i powiadą mi, że Ksawerka, numerowa z drugiego piętra, będzie wydalona.

— Za co? — spytała pani Porecka.

— To samo pytanie ja jej zadałam, — zaśmiała się pani Mniewska, — co tam ona zawiniła? Zarzucono jej, że podpatrywała i podsłuchiwała, ona zaś mszcząc się za wydalenie...

W tej chwili przystąpił pan Jedliński do siedzących. Pani Mniewska nagle urwała, on jednak coś zasłyszał, bo rzekł z uśmiechem:

— Pani mówi o Ksawerci... Znam dobrze tę historyę, ale chętnie posłucham nowej odmiany starych dziejów.

Pani Mniewska zawahała się, ale zachęcona przez damy, mówiła:

— Pokojówka opowiadała, że po dwa, po trzy razy dziennie listy nosiła... bardzo często kwiaty na dzień dobry...

— No i odpowiedzi, — dodał pan Jedliński.

— Mówiła też o wizytach... ale to już jej wymysł.

— A tego, że klęczał, jęczał, błagał, — rzekł ze śmiechem pan Jedliński, — tego nie słyszała pani?

— Wcale nie! I nie chcę, — dodała zagniewana pani Mniewska.

— To źle, ja wiem dokładniej...

Podeszła pani Łotuska i bardzo uprzejmie, z uśmiechem słodkim, mówiła:

— Tak dobrze bawicie się państwo, że pozazdrościłam i przyszłam.

— Bardzo prosimy... może pani usiądzie, — posunęła się pani Mniewska, — mówiliśmy o wydaleniu Ksawerki.

— A tak, słyszałam.

— Podobno ona pani usługiwała?

— Tak jest.

— I była pani z niej zadowolona?

— Dosyć... tylko była zbyt narzucająca się z usługą i ciekawa. Nie mogłam listów zostawić.

— One wszystkie takie, — rzekła z powagą pani Porecka, — to są płatne wrogi w domu.

— Że też pani nie poskarżyła się w biurze zakładu, — odezwała się pani Mniewska, — taka służąca odczyta, nie zrozumie i narobi plotek.

— Pani ma słuszność, już mi doniesiono, że rozgaduje o jakichś listach, kwiatach...

— Czy prawdę mówiła?

— Istotnie, raz czy dwa razy pan Szarocki przysłał mi swe poezye.

— Czy ładne? — spytała Ryta.

— Jak niektóre, — a chąc rozproszyć podejrzenia, dodała: — onegdaj wieczorem deklamował mi jeden wiersz... wydał mi się bardzo niezły.

— Przynajmniej nie nudziła się pani, mając swego nadwornego poetę, — zaśmiała się pani Mniewska, — a my byłyśmy pozbawione tej przyjemności.

— O, pan Szarocki wcale nie jest moim poetą, — zarumieniła się, — pisze dla wszystkich, jak każdy poeta.

— Dlaczegóż nam nie czyta? — spytała Madzia.

— Tego nie wiem.

— Ach, gdyby on nam zadeklamował! — zrobiła Madzia minkę błagającą, — niech pani poprosi, on to zrobi!

— Ależ nie wiem, on tak nie lubi publicznych występów, — mówiłą niezdecydowana.

— Cóż za publiczny występ? — zaśmiała się pani Mniewska, — on należy do naszego kółka, — patrzała na pana Szarockiego, który znudzony wyglądał przez poblizkie okno, — zresztą sama go poproszę, — wstała z kanapki i zawołała: — panie Szarocki! — a gdy się zbliżył, mówiła z przyjemnym uśmiechem: — pani Łotuska i my prosimy o ten wiersz, który pan deklamował wieczorem... w pokoju pani.

— Jeśli pani Łotuska każe, — powiedział niezręcznie, jak każdy zakochany, — będę posłuszny, jakkolwiek z pewnem wzdraganiem, bo nie umiem deklamować.

— Niechże pani każe, — zaśmiała się Madzia, — taka jestem ciekawa.

— Nie mam prawa rozkazywać, — zarumieniła się, — mogę tylko prosić.

— Słyszy pan! — zawołała wesoło pani Mniewska, — czekamy!

— Wiersz nie mój, lecz jednego z Koryfeuszów nowej szkoły... oddaje jednak mój nastrój ducha.

— Prosimy!

Szarocki odrzucił ręką bujne włosy, odchrząknął i zaczął:

„Rozsmęciła się we mnie błękitna żaloba
I tyś nieszczęsna i ja — i my oba!
Oboje zawiślim na przetwardej grani
I wpadniem razem do łzawej otchłani,
I jako gwiazdy kochają się w niebie,
Tak pragnę ciebie!

– To ładne! – szepnęła Madzia z uznaniem, inne panie potakiwały, zaś pan Szarocki odetchnąwszy, deklamował:

„Giewont się złoci, jak baśń Szeherazad
I włosy twoje płoną niby róże.
Wiem, że z tej drogi nie powrócę nazad,
Lecz skonam smętny przy orkanów wtórze.
Czy słyszysz moje rozełkania, duszo?
Życie katuszą!"

Skłonił się i chciał usunąć się na bok, gdy zasłuchana i rozkoszująca się wierszem tym pani Łotuska powiedziała tonem prośby:

– Dalej, panie Henryku... o tem złocie, to takie ładne!

Szarocki zawahał się chwilkę i mówił dalej z przejęciem:

„Na nic mi życia radosne heroldy,
Ni złoto Renu, ni brylantów piasek,
Skarb mój złośliwe ukryły Koboldy
I sam dziś jestem, jak w pustyni lasek.
O, życie, życie! – sam jestem z mą duszą,
Tyś jest katuszą!
Wenecki doża, gdym na Canale Grande,
Jeździł w marzenia łodzi do przystani,
Niejednąm spotkał prasłowiańską Wandę,
Lecz nie pisałem poematów dla niej;
Bowiem mi zawsze było przeokropnie,
A dzisiaj brutal jeno celu dopnie!
To serca ropnie!"

Skłonił się i usiadł, spojrzawszy powłóczyście na panią Łotuskę.

– Już koniec? – zawołała z żalem pani Mniewska, – jaka szkoda! Czy naprawdę nic więcej?

– Jest ostatnia jeszcze strofa, – powiedziała z radosną dumą pani Łotuska.

– Prosimy!... Prosimy!

Pan Szarocki z miną ofiary wstał, rękę oparł o poręcz krzesła i kończył:

Gdzieś tam przy Morskiem szumią świerki
I toń jeziora w słońcu się kryształi. [ostre,
Straciłem w tobie i brata, i siostrę,
I łza mię w sercu rozełkana pali,
Bo wiem, że jutro zanim wstanie słońce,
Przyjdą w me progi dumne śmierci gońce
Po życie żrące!

– Dziękujemy panu za prześliczną deklamacyę, – rzekła z godnością pani Porecka, – i mamy żal do pana, że tak rzadko słyszymy jego piękne poezye.

Szarocki pokrył swą wielką radość z pochwały uśmiechem napoły ironicznym i powiedział:

– Cieszy mnie, że prawdziwa poezya chociaż tą drogą zdobywa należne jej uznanie.

– Ta powiedz mi pan, – odezwała się radczyni, – dlaczego wy wszyscy piszecie smutne wiersze?

– Dlaczego? – odparł Szarocki dumnie, – jaki jest nastrój serca, tak się pisze.

– Ta co panu brakuje? – zaśmiała się, – jaki smutny nastrój? Jeść pan je, mieszka wygodnie, jest w co się ubrać, ot bieda nie dokucza żadna. No, a serce? – spojrzała przelotnie na panią Łotuskę, – ono nie próżnuje, ta i poco te smutki? te śmierci? Ja tak myślę, że to udawanie.

Ostatnie słowo, jak zwykle jakaś niemiła prawda, wzburzyło pana Szarockiego, zwłaszcza, że panie Porecka i Łącka przytakiwały temu zapatrywaniu radczni.

– Chlebojadom, – rzekł porywczo, – wystarczają wygody ciała, gdyż nie rozumieją głodu duszy, jej męki i tortury. Oto poeta spowiada się ze swej miłości, czuje grozę śmierci, tragedyę swego życia, a pani powiada: udawanie!

– Ta co mam robić? – zaśmiała się radczyni, – mówi pan, że to nie udawanie, niech i tak będzie.

– A pani jak się zdaje? – spytała pani Mniewska, patrząc na panią Łotuskę.

– Mojem zdaniem ten poemat jest szczery, niema w nim udawania.

– Żadnego! – podkreślił ostro pan Szarocki.

– No, tak, – uśmiechnął się pan Jedliński, – ale gdyby pan widział panią, – oczyma wskazał na panią Łotuską, – zwieszającą się z „przetwardej grani", i rzucającą się „do łzawej otchłani", czy pan by pozwolił na śmierć tak szpecącą suknie i ciało? Czy nie ratowałby pan jej, gdyby nawet panu obcą była?

– Co za dziwne pytanie? – uśmiechnął się niepewnie, – oczywiście ratowałbym.

– A teraz tak, panie Henryku, z ręką na sercu, gdy pan jesteś w towarzystwie pani i zachwycacie się oboje poezyą, czy życie jest katuszą? ropieniem? żrącą trucizną?

– Dlaczegóż pan do mnie stosuje tę poezyę? – zawołał obrażony.

– Pan głosił jej prawdę, a prawda jest jedna, i albo życie jest katuszą i męką, albo szczęściem i rozkoszą.

– Na takie postawienie kwestyi nie mogę się zgodzić, bo całe życie jest jednem pasmem smutku i nędzy, a chwile szczęścia i rozkoszy są odkradzione przeznaczeniu, – mówiąc o szczęściu spojrzał mimowolnie na panią Łotuskę.

– To nam wystarcza, – zaśmiał się pan Jedliński, – szło o to, czy pan mniewa chwile szczęścia i rozkoszy, co pan sam zeznał.

Wszystkie panie uśmiechnęły się dyskretnie i z pod oka spojrzały na zarumienioną po białka panią Łotuską.



Przy wejściu pani Wandy podniosła się z kanapki młoda, smukła brunetka.

– Nie wiedziałem, że były to śledcze pytania, – rzekł gniewnie Szarocki, i tem odezwaniem się pogrążył siebie jeszcze głębiej.

– W tem była właśnie sztuka! – zawołał wesoło pan Jedliński, – teraz jesteśmy w porządku, jak mówił indyk, gdy mu głowę ucięto. Nie mój koncept, lecz Dikensa.

W tej chwili zjawił się chłopak w liberyi, pomocnik portyera i szedł wprost do pani Wandy, która rozmawiała z panami Borowieckim i Manieckim. Wejście chłopaka wzbudziło ogólne zainteresowanie, a pan Jedliński, spojrzawszy na zegarek powiedział:

– To czas przybycia pociągu, ktoś przyjechał do pani Jerzyckiej.

Słowa te zrobiły wrażenie, a pani Łącka dodała z ulgą w głosie:

– Nareszcie mąż przyjechał.

– To bardzo dobrze, – dodała pani Porecka, – skończą się flirty.

– Wątpię, – uśmiechnął się pan Jedliński, – on jest za dobroduszny i ślepo jej wierzy.

Korzystając z tego zainteresowania się pomocnikiem portyera, pani Łotuska i Szarocki wysunęli się z towarzystwa i usiedli oboje na swem zwykłem miejscu, na kozetce we framudze salonu, zasłoniętej roślinami wazonowemi.

Tymczasem pani Jerzycka wysłuchała relacyi chłopaka:

– Proszę jaśnie pani, z pociągu przyjechała pani i ma list do jaśnie pani... kazała o tem zameldować.

– Nie powiedziała nazwiska?

– Nie, jaśnie pani.

– Gdzie ona?

– Czeka na jaśnie panią w westibulu.

W pierwszej chwili przyszło jej na myśl, że może ktoś ze wsi z wiadomością o Nince lub mężu i szybko szła do westibulu, lecz po namyśle zrodziło się przypuszczenie, że musi to być ktoś obcy, gdyż mąż byłby wysłał depeszę.

Przy wejściu pani Wandy podniosła się z kanapki młoda, smukła brunetka i cała oblana rumieńcem spytała nieśmiało:

– Czy pani Jerzycka? – a na potwierdzające skinienie głową: – jestem Dorota Rawicka, mam list od pani Szczygłowskiej, – podała kopertę.

– Ach, to od Zosi! – ożywiła się pani Wanda, – zna ją pani?

– Tak jest, to moja kuzynka.

– Proszę, siadaj pani, – usiadły obie, – pozwoli pani, że odczytam list.

– Bardzo proszę... zależy mi na tem.

Pani Wanda czytała dość obszerny list pani Szczygłowskiej, która pomiędzy innemi wiadomościami pisała: „Polecam ci gorąco moją kuzynkę, Dorotkę Rawicką, której stosunki rodzinne są nieszczególne. W domu, dzięki ojczymowi, była kopciuszkiem, ale z natury dobra i współczująca, znosiła wszystko w milczeniu. Z przepracowania dostała trochę anemii, ale głównie potrzebuje słońca, spokoju, radości życia. Znając twe serce i usposobienie, nie wątpię, że zajmiesz się nią szczerze i nie pożałujesz tego, takie to dobre, zacne serce".

Przy czytaniu pani Wanda spoglądała badawczo na dziewczynę. Wydała się jej sympatyczną i ładną, ze swą smagławą cerą, z czarnemi, marzącemi oczami, z bujnymi, aż w granat wpadającymi włosami, z pięknymi, niemal wyrzeźbionymi, rysami twarzy. Była podobna do pączka kwiatu, który rozchyla się dopiero do słońca, do życia i sam dla siebie jest jeszcze zagadką.

– Zosia w liście bardzo chwali panią, widać, że panią kocha.

– Ona jest bardzo dobra, – zarumieniła się, – i może przez zbytnią dobroć wymogła na mamusi, że wysłała mnie do Zakopanego.

– Zmęczyła panią podróż?

– Bardzo mało.

– Wszyscy młodzi tak mówią, – uśmiechnęła się niedowierzająco pani Wanda, – pani zostaje pod moją opieką, a opiekunce trzeba zawsze prawdę mówić. Czy głodna pani?

– Prawie nie... ale pragnęłabym po podróży przyczesać się i umyć.

– Jakaż nieuważna jestem... pewno pani nie ma jeszcze pokoju. Zaraz zaradzimy, – poszła do biura zakładu.

Wróciła po jakimś czasie, oznajmiając z przyjaznym uśmiechem:

– Na razie niema wolnego pokoju i musi pani przyjąć gościnę u mnie.

– Nie mogę nadużywać dobroci pani, są przecież hotele w Zakopanem i wrócę, gdy znajdzie się tu miejsce.

– Jako opiekunka nie mogę pozwolić na to, – zaśmiała się – i proszę być posłuszną. Pójdzie pani do mego pokoju, a wieczorem wstawi się łóżko i wszystko będzie dobrze.

– Bardzo pani dziękuję, ale takiego poświęcenia przyjąć nie mogę, – siliła się na stanowczość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fort „Cochon“ w Paryżu.

Cały Paryż spieszy od szeregu dni na bulwar Lames, aby podziwiać aferę, która bawi i rozśmiesza gicznie przeciw tego rodzaju lokatorom i wezwał hrabiego, aby ich natychmiast usunął. Hrabia odesłał go do p. Cochon, jako podnajemcy, a ten oświadczył stanowczo, że ani myśli zadość uczynić przez okno, spuszczając się po linie. Tłumy stoją cały dzień na bulwarze, podziwiając widowisko. Paryż się cieszy, radują się lokatorzy, a gospodarze drżą przed strasznem nazwiskiem p. Cochon.





Fort „Cochon“ w Paryżu:
Paryżanie zbierają się tłumnie przed mieszkaniem hr. Laroche-Foucault, gdzie zabarykadowało się osiem rodzin robotniczych.
Sekretarz Związku ochrony lokatorów w Paryżu, p. Cochon, przedostaje się po linie do zabarykadowanego pałacu.

mieszkańców. Hrabia Laroche Foucault wynajął tam wspaniały pałac. Ponieważ jednak nie mógł pogodzić się z właścicielem mieszkania, już po tygodniu wyprowadził się, mimo, iż zapłacił czynsz za cały kwartał. Gospodarz nie chciał go zwolnić i zwrócić czynszu. Chcąc mu dokuczyć, zaprosił Hr. Laroche-Foucault sekretarza Związku ochrony lokatorów, p. Cochon, aby zamieszkał na te trzy miesiące w pałacu. Związek miał właśnie w swej opiece osiem familii bez dachu, mających 35 dzieci. Wszystkie te rodziny wprowadziły się więc do wspaniałego pałacu i rozgościły się w nim.

Rzecz prosta, że gospodarz zaprotestował ener- żądaniu gospodarza. Mieszkanie jest zapłacone, nie ma więc podstaw do wyrzucania lokatorów.

Gospodarz zawezwał policyę, aby dokonać eksmisyi. P. Cochon zabarykadował się wraz z lokatorami w pałacu i od szeregu dni broni się, nie wpuszczając nikogo do środka. Codziennie przy dźwiękach muzyki Związku ochrony lokatorów zajeżdżają przed dom wozy z żywnością, którą na linach wciąga się do domu. Policya musi spokojnie przypatrywać się całej hecy. W oknach obrońcy „fortu“ wywieszają flagi i wystawiają różne napisy. Ale do środka nie wpuszczają nikogo.

P. Cochon opuszcza swych protegowanych tylko

Illustracye nasze przedstawiają epizody z obrony „fortu Cochon“.

Kurs kroju i szycia w Jarosławiu.

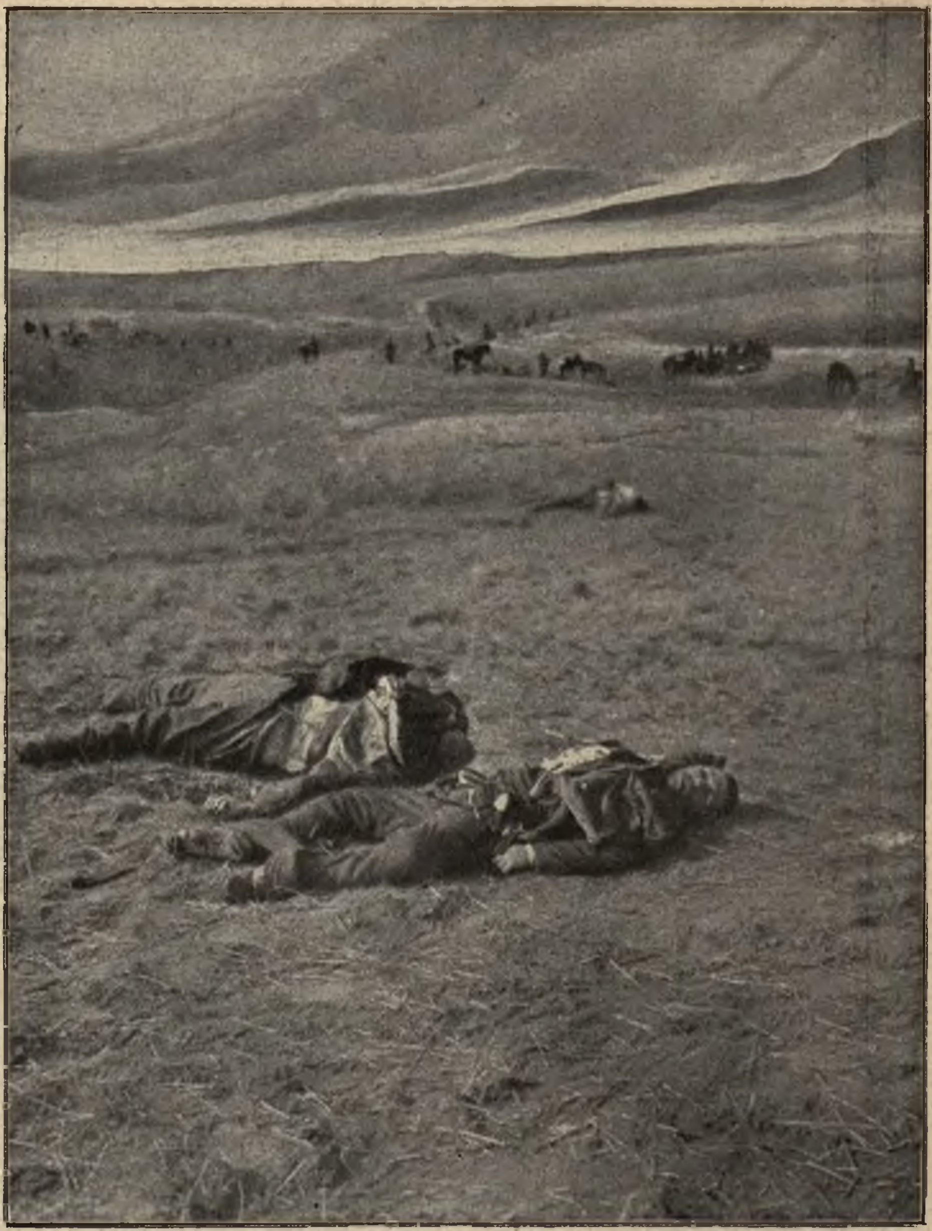
W tych dniach odbył się w Jarosławiu kurs kroju i szycia damskiego, urządzony przez Ligę Pomocy przemysłowej i miejscowe Towarzystwo Pomocy przemysłowej.

Kurs, którym kierowała instruktorka Ligi Pomocy przemysłowej p. Bronisława Jasiewiczowa ze



Kurs kroju i szycia w Jarosławiu: Grupa uczestniczek i kierowników kursu.





Z kotła bałkańskiego:

Patrol w Bukareszcie prowadzi aresztowanych pod zarzutem szpiegostwa Bułgarów.

Bułgarzy pomordowani przez Turków w Tracyi.



Nowoczesna szkoła malarska w Londynie: Psy jako modele.

Lwowa, odbył się w sali Szkoły rzemiosł budowlanych przy udziale 25 uczestniczek.

Kurs miał trwać sześć tygodni, na ogólne żądanie jednak miejscowych czynników i uczestniczek przedłużyła Liga Pomocy przemysłowej czas jego trwania na dwa miesiące. Uroczyste zamknięcie kursu odbyło się przy współudziale przedstawiciela zarządu głównego Ligi Pomocy przemysłowej pana dra Witołda Lewickiego, który równocześnie otworzył wystawę prac uczestniczek kursu.

Kurs kroju i szycia w Jarosławiu zyskał sobie ogólne uznanie, czego najlepszym dowodem żądanie miejscowego Towarzystwa Pomocy przemysłowej, by zarząd główny Ligi ponowił kurs w najbliższym czasie.

Nowoczesna szkoła malarska w Londynie.

Sztuku malarska, poza impresyą duchową, która odzwierciedla się w twórczości kompozycyjnej, zdobywa zachwyt widza plastyką rysunku i szczerością w naśladowaniu natury. Aby módz tę naturę na płótnie odtworzyć, nie naśladując jej niewolniczo, musi malarz zżyć się z nią, umieć ją odczuć i rozumieć. W ten sposób bowiem tylko potrafi wczuwać się w nastroje, jakie w naturze tworzy przecudne podłoże rzeczywistości, a które są zarazem jakby jej piękną dekoracyą.

Szkoły malarskie największy nacisk kładą na to, aby swym uczniom umożliwić jak najczęstsze zbliżenie się z naturą. Do tego celu służą wycieczki malarskie, oraz studya w plenerze. Są to jednak zazwyczaj rzeczy bardzo kosztowne, wobec czego trudno zastosowywać je na szerszą skalę.

Na nadzwyczajną rzecz zdobył się malarz angielski, znany specyalista na polu malarstwa zwierząt, M. F. Calderon. Otworzył on mianowicie szkołę malarską w której wszystkie modele są żywymi zwierzętami. Przy szkole znajduje się mały ogród zoologiczny, który dostarcza wzorów do sal rysunkowych.

Jest to jedna z nielicznych szkół, które mogą służyć za wzór malarskich szkół w przyszłości.

W dzisiejszym numerze podajemy illustracye dwóch sal rysunkowych.



Budowa kaplicy w Zalesiu.



Kościół i plebania w Nowosiółce.

Praca narodowa na kresach:

Praca narodowa na kresach.

Zarówno na zachodzie, jak i wschodzie ludność polska, rozrzucona wśród obcej narodowości, narażona jest na wynarodowienie. Toteż praca „na kresach“ jest jednym z ważniejszych obowiązków narodowych, który musimy wypełniać nie tylko na Śląsku, ale i we wschodniej Galicyi, gdzie niejednokrotnie mniejszości polskie są skazane na zagładę.

Jedną z takich oaz polskich, do niedawna ogromnie zaniedbanych pod względem narodowym, jest wioska Nowosiółka nad Zbruczem, przy samej granicy rosyjskiej położona.

Mało kto o tej wiosce słyszał a temwięcej nią się zajmował, nic też dziwnego, że wszystkie niemal rodziny zapomniały swej mowy ojczystej. Dopiero



Nowoczesna szkoła malarska w Londynie: Sala do modelowania poszczególnych części ciała zwierzęcego.

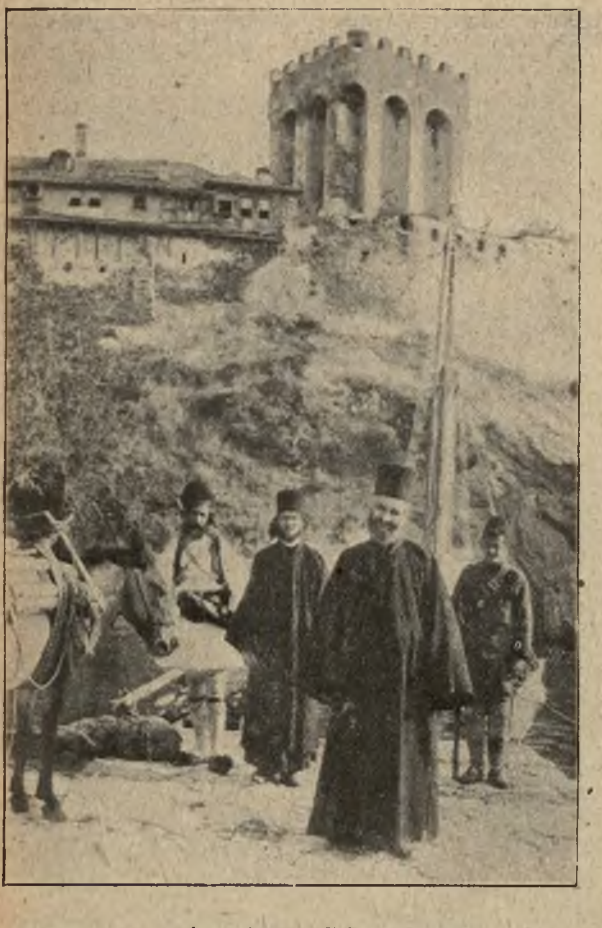
od roku, od chwili przybycia do wioski tej księdza Józefa Leśniaka, Bernardyna, zaczyna się budzić wioska do życia. Jego to staraniem założono kasę Raiffeisena, Kółko rolnicze, a w ostatnich czasach



Praca narodowa na kresach: Rada gminna w Nowosiółce nad Zbruczem.

drużynę bartoszową, zeszłego zaś miesiąca obchodzono niezwykłą uroczystość, bo poświęcono kamień węgielny pod kościółek w Zalesiu, w parafii miejscowej, która dzięki gorliwej pracy O. Józefa Leśniaka zmieniła się nie do poznania.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy kilka illustracyi z tej budzącej się do życia narodowego polskiej wioski na wschodnich kresach, mianowicie



Rewolucya na górze Athos: Zakonnicy zbuntowanego klasztoru św. Pantalejmona.

rozpoczętą budowę kaplicy w Zalesiu, kościółek i plebanię, oraz nowo obraną radę gminną w Nowosiółce.

Warszawa-Łódź-Warszawa.

W obecnych czasach postępu szybko przemija sława zdobyczy technicznych. Koleje należą już do „przestarzałych" środków komunikacyi. Nie mówiąc o aeroplanach, komunikacya kolejowa została już dawno pobitą na punkcie szybkości przez automobile. Kto nie chce wlec się „żółwimi" pociągami, może daleko szybciej odbyć podróż samochodem. Dla ustalenia, jak szybko można przebyć przestrzeń, dzielącą dwa największe miasta polskie: Warszawę i Łódź, członkowie warszawskiego Klubu automobilistów, pp. Edward Berson i red. Dekler, zorganizowali podróż samochodową na przestrzeni Warszawa-Łódź-Warszawa.

Automobiliści wyjechali z Warszawy na dwuosobowym samochodzie o godz. 4 m. 23, a przybyli do Łodzi o godz. 7 m. 22. Z Łodzi w powrotną drogę samochód ruszył o godz. 7 m. 37 i przybył do Warszawy o godz. 9 m. 39, czyli całą przestrzeń z Warszawy do Łodzi i z powrotem przebył w 5 g. 16 m. W ten sposób podróż na samochodzie trwała prawie o gadzinę krócej, niż pociągami pospiesznymi.

Rewolucya na górze Athos.

Na półwyspie chalsydejskim, wrzynającym się daleko w morze Egejskie, wznosi się potężna góra Athos z najwyższym szczytem, nazwanym Górą Świętą (Hagion Oros). W starożytności kraj lesisty posiadał kilka miast, w średnich wiekach pokrył się klasztorami, które przez długie lata były głównem siedliskiem greckich nauk i sztuk. Oprócz tego znajduje się tutaj około trzysta pustelni.

Wszystkie klasztory z kilku tysiącami mnichów i pustelników wszelkich narodowości, rządzone przez dożywotnich lub czasowych przełożonych, tworzą pewien rodzaj mniejszej republiki, która do ostatnich czasów zostawała pod opieką Turcyi.

Ustawy pojedynczych klasztorów nie są jednakowe, zasadą ich wszystkich jest jednak reguła św. Bazylego. Wszystkie klasztory wybierają corocznie swych reprezentantów w miasteczku Karaisie, ci czterech archontów oraz stałego sekretarza, który *de facto* jest tutaj najważniejszą osobą.

Kobiety są wyłączone z półwyspu.

Rzecz prosta, że w tego rodzaju środowisku, złożonem z różnych napływowych żywiołów, powstawały od czasu do czasu niesnaski, nieraz też sąsiedzi dawali się we znaki bogatym mnichom. Stwierdzić należy, że Turcy zawsze bardzo względnie zachowywali się wobec tej rzeczypospolitej i zadowalali się rocznym haraczem, wynoszącym sto dziewięćdziesiąt tysięcy piastrów.

W ostatnich czasach, po pogromie Turcyi przez członków Unii bałkańskiej, uwaga Europy zwróciła się znowu w stronę góry Athos, którą postanowiono uznać za niezależną rzeczpospolitą.

I bylibyśmy może nic więcej o tym zakątku nie słyszeli, gdyby nie wojna domowa, jaka wybuchła niedawno pomiędzy mnichami klasztorów Pantalejmonowskiego i Andrejewskiego z powodu dogmatów, głoszonych przez dwu tamtejszych jeromonachów, Hilaryona i Andrzeja Bułatowiczów.

Poczęli oni nauczać, że Syn Boży wcielił się w swoje Imię Jezus, które samo jest Bogiem, równym Bogu Ojcu.

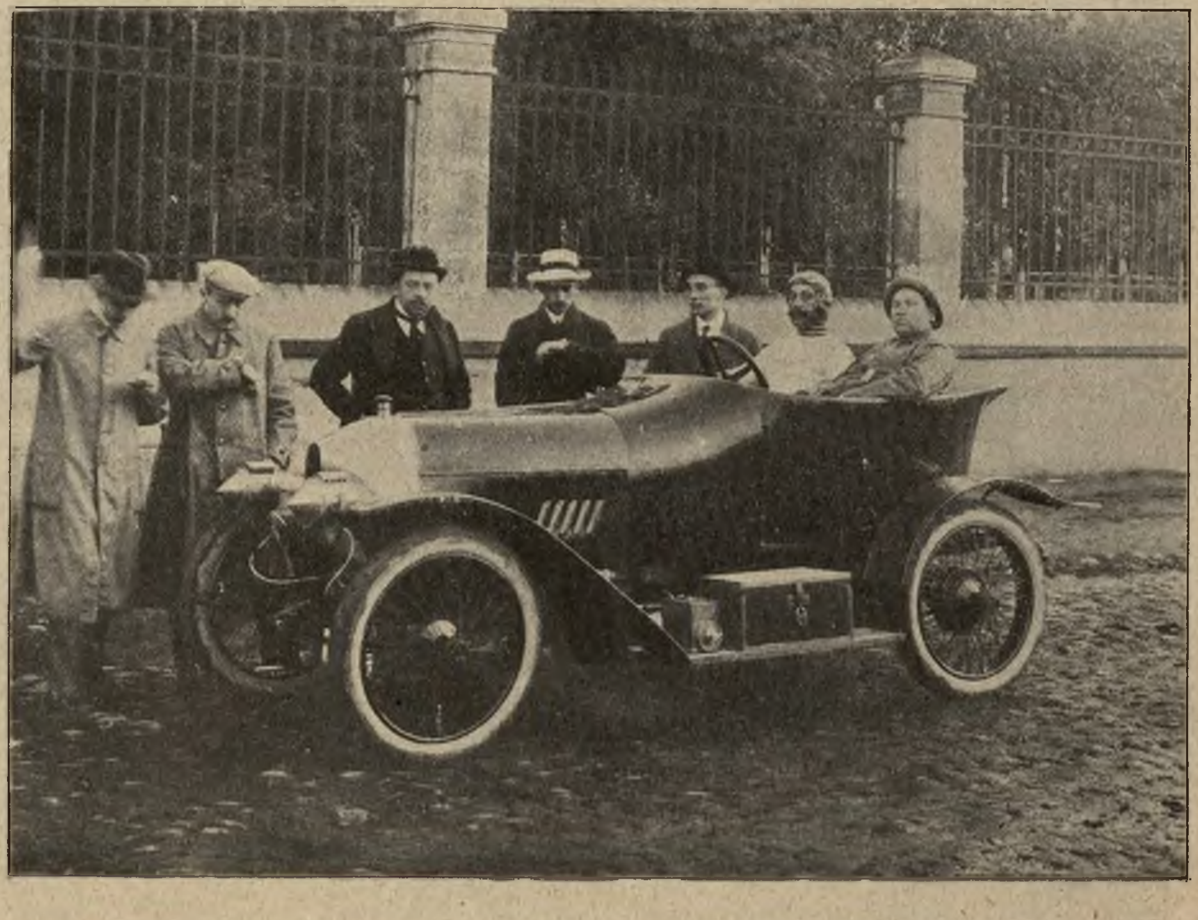
Mnisi podzielili się na dwa obozy, za i przeciw nowej nauce.

Niezależnie od tego Bułatowicz przybył do Rosyi i tu począł szerzyć swoje zasady. Pod jego wpływem powstał „Związek Michała Archanioła wyznawców Imienia Bożego", na czele którego stanął były misyonarz, ihumen Arseniusz.

Patryarcha konstantynopolitański uznał naukę za heretycką, zażądał też opinii co do niej od synodu petersburskiego.

Opinia wypadła po myśli patryarchy, synod polecił nadto biskupowi wołogodzkiemu, Nikonowi, i profesorowi akademii duchownej w Petersburgu, Troickiemu, udać się na górę Athos dla zbadania na miejscu sprawy i ewentualnego jej załagodzenia.

Ponieważ nie udało się doprowadzić tego do skutku, a walka obu wrogich sobie obozów przybrała zbyt ostre formy, musiano uciec się do ostatecznego środka. Do klasztoru wkroczyli marynarze rosyjscy, a gdy i to nie pomogło, opornych mnichów, zwolenników braci Bułatowiczów, w liczbie 616 przewieziono do Odessy.



Warszawa-Łódź-Warszawa: Członkowie klubu automobilistów, pp. Edward Berson i Zygmunt Dekler, przed wyruszeniem w rekordową podróż. (Fot Maryan Fuks, Warszawa).

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

5

— Przecież to nie jest normalnie rozwinięte dziecko, mylady — nie mógł się urzędnik policyjny powstrzymać od uwagi. Nie rozumiał, jak można kochać takie brzydkie dziecię. — Ono jest tępe umysłowo i chore...

— A właśnie dlatego tem dla mnie droższe, — łkała Marya. — Im bardziej jest bezsilne, tem większa moja miłość i litość.

Nagle skoczyła i rzuciła się przed baronem na kolana.

— Alfredzie! zostaw mi to dziecko! — błagała. — Miej litość, współczucia trochę dla mnie! Co chcesz zrobić z tą nieszczęśliwą istotą? Umrze bez opieki matki! Wszystko ci przebaczę, o! tylko ten raz pokaż, że naprawdę masz serce.

Wśród jej łez, strumieniami płynących, przejawiał się niewypowiedziany ból, stroskane spojrzenia mówiły więcej, aniżeli usta.

Baron Wolfern nie mógł wytrzymać spojrzenia jej oczu. Odwrócił się bokiem i odpowiedział głucho z gniewem:

— Dlaczego opuściłaś zamek? Wróć, a dziecko będzie miało swą matkę.

— Nędzniku! Wiesz, że tego zrobić nie mogę.

— A więc twoja nienawiść większa jest niż miłość! Jeśli dziecko nie jest dla ciebie nic więcej warte...

— Zabijesz dziecko, jeśli pozbawisz je opieki i starań matki.

Wzruszył, chmurny, ramionami.

— Spojrz na tych ludzi dookoła, Margo i zakończ tę śmieszną scenę. Dziecko przyznało mi prawo, — tyś je uprowadziła, — korzystam obecnie z przysługujących mi praw i odbieram je. Więcej nic nie mam z tobą do czynienia.

Odwrócił się, puszczając naprzód obu urzędników policyi, którzy, znudzeni długiem parlamentowaniem, chcieli przystąpić do wykonania egzekucyi. Ten, który mówił po niemiecku, wyciągnął rękę, aby dziecko pochwycić.

— Nigdy! — krzyknęła baronowa i przycisnęła skarb swój silnie do piersi.

W tej chwili drugi urzędnik schwycił ją z tyłu, przytrzymał jej ręce, pierwszy zaś wyrwał jej silnem szarpnięciem dziecko. Nieszczęśliwa matka krzyknęła, dziecko zaczęło żałośnie płakać.

Stojący do około ludzie zaczęli ujmować się za matką, wymyślali głośno na barona i policyę i grozili mu. Rozgrywała się bardzo dramatyczna i drażliwa scena.

— Oddajcie mi moje dziecko! — skarżyła się Marga, usiłując urzędnikowi odebrać małego, — ten podał go szybko baronowi.

— Precz! jak można najprędzej, — zawołał, — inaczej ludzie rzucą się na pana.

Baron usłuchał tej rady. Pod opieką detektywa, wycofał się ze swą zdobyczą na ląd. Marga chciała rzucić się za uchodzącymi, ale policyanci zastąpili jej drogę. Zemdlona upadła na ziemię. Z płaczem rzuciła się jej stara służąca na ratunek, doktór pochylił się nad nią, aby zobaczyć, co może dla niej zrobić. Po chwili przyszła do siebie i otworzyła oczy.

— Dajcie mi spokój, — jęczała złamanym głosem. — Przyjdę sama do siebie. Jeśli pan chce, proszę jutro z dr. Ammarellem przyjść do hotelu „Księcia Walii", tam zamówiłam pokój, chcę panom wszystko opowiedzieć, czego jeszcze nie wiecie.

Wzruszeni udali się po chwili obaj mężczyźni ku lądowi.

ROZDZIAŁ VII.

W południe na drugi dzień zastali młodą kobietę przynajmniej zewnętrznie zupełnie spokojną. Paroksyzm rozpaczy minął, a owładnął nią stan cichego zapamiętania się w bolu. Potrafiła nawet uśmiechnąć się, kiedy obaj weszli. Z wielką serdecznością podała rękę zwłaszcza lekarzowi, a kiedy wszyscy usiedli, zaczęła opowiadać spokojnym głosem, choć znużonym i pozbawionym zwykłego melodyjnego dźwięku.

— Dziękuję panom za to, żeście przyszli. Czuję wewnętrzną potrzebę, aby w waszych oczach się usprawiedliwić. Proszę nie uważać mnie za histeryczkę, nie należę do słabych. Ale walka o moje dziecko trwa już długo...

— Każdy uczciwie myślący człowiek musi znaleźć współczucie dla cierpienia matki, — oświadczył Robert poważnie; — nie potrzebuje pani usprawiedliwiać wybuchu swej boleści.

Powoli opowiadała Marga Wolfern dalej.

— Z domu nazywam się Steinitz. Mój ojciec był prezesem sądu i był zamożnym, ale bardzo skąpym. Od małego dziecka uważana byłam za ładną dziewczynę. Byłam jednak bardzo naiwna, a najlepiej dowodzi tego fakt, że mając już piętnaście lat, bawiłam się najchętniej lalkami. Pewnego dnia, w kilka tygodni po uroczystości urodzin, wyszłam za mąż. Zaiste, odważny skok z pokoju dziecinnego do małżeństwa! Nie czułam żadnej skłonności do mężczyzn, byłam też niepocieszona i płakałam bardzo. Moja rodzina jednak namawiała mnie, przedstawiając, jak wielki zaszczyt mnie spotyka, że drugi raz taka sposobność w życiu może mi się nie zdarzyć. Miałam bowiem przez małżeństwo stać się bogatą i uzyskać tytuł. Stary baron Wolfern oświadczył się o moją rękę dla swego syna. Mój ojciec i on spotykali się w klubie. Kilka razy odwiedził nas i widział mnie. Syn również był u nas. Cóż miałam robić? Znajdowałam się jeszcze w wieku, kiedy się jest przyzwyczajonym słuchać rodziców. Uczucia żadnego dla mego przyszłego męża nie miałam. Byłam przecież taka młoda i niedoświadczona, a myśl, że jestem zaręczona i zostanę baronową, pochlebiała mi, gdyż nadawała mi wielkie znaczenie wobec moich rówieśnic. Mój narzeczony był o dwanaście lat starszy odemnie, był dla mnie powagą i autorytetem, a ja bałam go się i słuchałam, jak dziecko dorosłą osobę. Pieszczoty jego znosiłam tak, jak uwięziony ptak znosi czułości swego właściciela. Wydał mi się wzorem dystynkcyi i mądrości życiowej, mimo, że zachowanie się jego było w istocie impertynenckie. Kpił z wszystkiego i nic nie było dlań świętego, lub podziwienia godnego.

Nie wiedziałam także, że on żyje rozwiąźle i rodzice go prawie wydziedziczyli. Nie rozumiałam też zupełnie umowy ślubnej i spadkowej, jaką zawarli jego rodzice z moimi, a która miała mnie i moje dzieci chronić przed jego rozrzutnością.

Rodzice moi uważali, że zrobili dosyć dla mojej przyszłości, jeśli w ten sposób mnie zabezpieczyli. Właśnie jednak te środki ostrożności dowodzą mi jasno, jak dobrze znali zły charakter mojego męża. Mimo to jednak głupia duma i zarozumiałość wydały mnie, prawie dziecko, na łup takiego człowieka. Wiedzieli bowiem dobrze, że rodzice Wolferna żenią go tylko dlatego, iż przypuszczają, że małżeństwo wpłynie dobrze na zmianę trybu jego życia.

Byłam za młoda, aby poważnie zapanować nad takim charakterem jak Ernesta Wolferna, nawet gdybym była wiedziała o właściwym stanie rzeczy. Ale nawet tego nie było. Bez świadomości przyszłości, jaka mnie czeka, poszłam do oltarza. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie, jak po kilku zaledwie tygodniach pożycia małżeńskiego mój mąż przyszedł zupełnie pijany do domu. W tym stanie okazał różne najwstrętniejsze instynkty. Nie miałam wtedy odwagi, aby mu robić wyrzuty, płakałam tylko, bałam się go i zamykałam na klucz. Wnet byłam pewną już: Ernest pił.

Nie będę się rozwodziła nad tem, com wycierpiała, jako żona tego człowieka. Pił i grał w karty, a gdy się upił, co się często zdarzało, obchodził się ze mną ordynarnie, bił mnie nawet.

Bóg jeden wie, ile nocy przepłakałam i jak bałam się wieczorów, kiedy on powracał. Jedyną mą modlitwą było, aby nie wracał do domu pijany. Cóż pomagało mi, iż rano wytrzeźwiawszy, przychodził, przepraszał i przyrzekał poprawę? Ojciec jego i matka robili mu gorzkie wyrzuty, grozili mu nawet. To samo robili i moi rodzice. Ale to nic nie pomagało. A ja byłam ofiarą.

Mimo to — a może właśnie dlatego, kiedy po kilku latach urodziło nam się dziecko, stało się ono mojem całem szczęściem. Moje serce miało wreszcie coś w tem strasznem małżeństwie, do czego mogło się przywiązać, co przedstawiało pewną wartość i mogło zrównoważyć przykrości mi wyrządzane.

Mały Rudolf urodził się jako rzekomo zdrowe dziecko. Zaledwie mogłam się doczekać chwili, kiedy usłyszę pierwsze „mama" i ujrzę pierwszy jego uśmiech. Niestety! Czas ten minął, a u dziecka nie pojawił się ani uśmiech, ani też żaden znak duchowego pojmowania. Tępy wyraz oczu pozostawał ciągle. Napróżno łudziłam się z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Wezwałam lekarza, — starał się mnie pocieszyć.

— Tylko cierpliwości, pani baronowo — mówił — u jednych dzieci świadomość budzi się wcześniej, u drugich później.

Odpowiedź ta zadowolniłaby kobietę mniej spostrzegawczą, ale ja obserwowałam go, gdy bada dziecko i czytałam w jego wzroku wielki niepokój.

— Niech mi pan powie prawdę, doktorze — naciskałam na niego — wiem, że pan ma już swe zapatrywanie skrystalizowane.

Po pewnem wahaniu, możliwie najdelikatniej wypowiedział mi całą straszną prawdę. Moje gorąco ukochane dziecko było słabe umysłowo, a w każdym razie zdolności jego duchowe nie rozwijały się. Złamana upadłam na kolana przy jego łóżeczku! Trzymając rękę dziecka w mojej, płakałam gorzko. Ale ostatecznie czegóż innego mogłam się spodziewać? dziecko pijaka!

Niewinnie, zostałam jako matka srogo ukarana! O ratunku, możności uleczenia w tym wypadku nie mogło być mowy.

Zwróciłam się do lekarza z zapytaniem, czy może wychowanie, pożywienie i sposób postępowania mogą wpłynąć na stan umysłu mego syna. Wzruszył lekko ramionami.

Marga przerwała opowiadanie, aby opanować wzruszenie. Obaj słuchacze milczeli. Każde słowo pocieszenia wydawało im się w obecnej chwili banalnem.

— Chcę krótko zakończyć — podjęła dalej biedna kobieta. — Do cierpień żony przybyły jeszcze cierpienia matki. Która matka potrafi całkiem zrzec się nadziei? Wiedziałam, że lekarz mówił prawdę, mimo to żywiłam ukrytą nadzieję. Naprózno — dziecko pozostało tępe i bez duszy. Bardzo powoli zaczęły występować u niego lekkie przebłyski świadomości. Jakże zazdrościłam wszystkim tym szczęśliwym matkom, które widziałam, gdy przechodziły obok mnie, prowadząc swoje ładne normalnie rozwinięte dzieci, które spoglądały na mnie rozumnymi, jasnymi oczyma, pełnymi świadomośc.. Mimo to, a może bardziej dla tego właśnie kochałam moje biedactwo, potrzebował on mnie więcej, niż dzieci innych matek i to mi wystarczało!

Tymczasem stosunek mój z mężem stał się wprost nieznośnym. Z początku były jeszcze chwile, w których zdawało się, że usposobienie jego zaczyna przechylać się na dobrą stronę. Robił wrażenie człowieka, który mnie kocha, pracował nad sobą, chociaż bez rezultatu, gdyż jego niekiełzana natura odnosiła zawsze zwycięstwo. Z czasem poddał się zupełnie swym nałogom, wszelkie pozory upadły. Wreszcie położenie moje stało się tak ciężkiem, że nie mogłam go już dłużej znosić. Stał się nałogowym pijakiem, bił mnie po pijanemu, raz nawet groził memu życiu, kiedy upiwszy się, wpadł we wściekłość, tak że musiałam z dzieckiem uciekać do służącej. Starałam się wytrwać mimo to, ze względu na dziecko.

Stary baron, arystokrata w szlachetnem znaczeniu słowa, kochał mnie szczerze, a ja odpłacałam mu się szczerem uwielbieniem. Dodawał mi często odwagi i podnosił na duchu. Także obowiązek wdzięczności wiązał mnie z nim, wiedziałam bowiem, że aby mnie i dziecko zabezpieczyć, zamianował Rudolfa swym jedynym spadkobiercą. Mój mąż otrzymywał tylko rentę, gdyż był pod kuratelą. Marnował bowiem wszystko bezmyślnie. Ja z mej strony nie chciałam przyjąć żadnej renty, mały kapitalik, pozostawiony mi w spadku przez rodziców, wystarczał na moje potrzeby. W małżeństwie mem miałam tyle przykrości z powodu złota, że nienawidziłam je szczerze.

Wbrew mej chęci wyznaczył mi stary baron rentę, którą notaryalnie zatwierdził. Miała ona dać mi kiedyś samodzielność, jak mi sam mówił. Wtedy byłam tak przybita, że nie rozumiałam go. Zbyt szybko jednak rzecz stała mi się jasną. Wobec sposobu życia mego męża, można było z góry taki koniec przewidzieć. Mimo to ani stary baron, ani ja, nie wierzyliśmy własnym oczom, kiedy pewnego dnia przyniesiono mego męża do domu ciężko rannego. Po przehulanej nocy wybrał się rano konno na przejażdżkę. Spadł i ciężko się poranił. Koń zrzucił go w przepaść. Znaleziono bezprzytomnego i zaniesiono do zamku.

Ojciec jego, który był chory już od dłuższego czasu, padł rażony atakiem apopleksyi, na widok syna. W kilka godzin potem mój przyjaciel i doradca skończył swe życie. Nie miałam czasu oddawać się boleści, gdyż obowiązek powoływał mnie do łóżka mego męża. Rana jego była śmiertelna, cierpiał strasznie; wszystkie przykrości i zmartwienia, jakie mi w życiu zadał, zmazał tym jednym momentem, kiedy jęcząc ujął mnie za rękę i szepnął:

— Margo, czy możesz mi przebaczyć? Zdawało się, że ta śmiertelna rana dała mu dopiero opamiętanie.

— Niech przyjdzie Alfred! — jęczał chory. Alfred był jego młodszym bratem, prawie równie lekkomyślnym. Nie znałam go, gdyż będąc w woj-

sku, nie był w Berlinie. Słyszałam tylko o nim wtedy, kiedy stary baron płacił jego długi, albo gdy raz w roku przyjeżdżał do zamku z krótką wizytą. Ma się rozumieć, wezwano go już przedtem telegraficznie i jeszcze tego samego dnia wieczorem przybył. Kiedy stanął przy łóżku mego męża, ten był przytomny, ujął go za rękę i szepnął:

— Alfredzie przyrzeknij mi, że naprawisz zło, które ja zawiniłem. Bądź dla mego dziecka opiekunem. Przyrzeknij mi wobec świadków, że będziesz bronił zawsze praw Rudolfa.

Ból przerywał mu słowa, które jednak siłą woli wydobywał. Gorącą od gorączki rękę wyciągnął do mnie:

— Margo, biedna moja żono, przebacz mi... Boże zmiłuj się nademną... gdybym mógł jeszcze raz żyć... Alfred będzie się tobą opiekował... a Rudolf...

Ciemny strumień krwi przerwał mu ostatnie słowa. Jeszcze raz odetchnął silnie i... wszystko się skończyło.

W kilka godzin świece woskowe paliły się u wezgłowia dwóch trumień. Moje biedne dziecko leżało, śmiejąc się głupkowato w poduszkach.

Upadłam przy jego łóżeczku na kolana i błagałam nieba o cud.

— Boże, daj memu dziecku zdrowie. Zrobię wszystko, przyjm skruchę ojca i życie matki. Wyrzeknę się miłości, wyrzeknę się wszelkiego szczęścia, ale wysłuchaj mnie...

Przy otwarciu testamentu okazało się, że tak, jak stary baron zapowiedział, Rudolf był generalnym spadkobiercą. W razie jego śmierci majątek przechodził na zakład dla biednych, ułomnych dzieci. Ostatnia wola brzmiała:

— Moje pieniądze mają przynieść błogosławieństwo, za późno poznałem, jak mało szczęścia można kupić.

Alfred otrzymał taką samą rentę jak jego brat. Potem odczytano w kodycylu punkt, który stał się mojem nieszczęściem i nie przeczuwał stary baron, ile złego robi tem postanowieniem. Było tam:

— Gdy umrę, należy zamianować opiekuna dla mojego wnuka Rudolfa. Na barkach młodej jego matki ciąży i tak dosyć obowiązków. Opiekun ma mieć dziecko przy sobie i kierować jego wychowaniem. On używa za to dochodów majątku, matka dziecka zaś ma prawo mieszkać stale w pałacu, o ile zechce.

Kiedy ten punkt odczytywano, byłam tak przybita bólem, że nie zrozumiałam, iż syn mój już wyłącznie do mnie nie należy. Dopiero kiedy zaczęto radzić nad wyborem opiekuna, opanowała mnie ogromna obawa o dziecko, mimowoli wprost chwyciłam Alfreda za rękę i prosiłam:

— Obiecałeś wobec świadków strzedz praw dziecka, pomóż mi i nie pozwól obcym ludziom stanowić o jego losach.

Płakałam, a Alfred starał się mnie uspokoić. Z zadowoleniem słuchałam, kiedy w tym duchu do zebranych przemówił i serdecznie ucieszyłam się, kiedy usłyszałam, że sąd jego wyznaczył opiekunem Rudolfa. Wmawiałam w siebie, że przez możność używania dochodów, wraca się Alfredowi część dziedzictwa, które także jemu się należało. Dotykało mnie bowiem boleśnie, że przez moje dziecko on został pokrzywdzony. Zdawało mi się, że stary baron za ostro postąpił wobec Alfreda. Wogóle byłam skłonna, aby wierzyć, że Alfred był wielostronnie zapoznany i że nie jest takim lekkoduchem, za jakiego go zawsze ojciec uważał.

Baron Alfred wziął wnet w pułku dymisyę i osiadł w dużem bocznem skrzydle pałacu. Objął zarząd majątku, starał się bardzo o dziecko, pozostawił je jednak mnie w zupełności. Był bardzo delikatny i względny tak, iż powoli zaczęłam odżywać i mimo mej wielkiej boleści, znajdowałam w mem dziecku radosne chwile.

Tak było jednak zaledwie pół roku. Wtedy nagle zrzucił maskę. Najpierw stał się wobec mnie niemile przyjacielski, rodzaj przyjaźni, który obraża. Potem padły raz słowa, które zabarwiły twarz moją rumieńcem wstydu, a kiedy spostrzegł, że zaczynam się od niego odsuwać, unikam go i przebywam tylko sama z dzieckiem, użył najsilniejszej swej broni. Był na tyle przebiegły, że przyszedł do mnie w chwili, gdy byłam sama z synem. Wtedy powiedział mi bez osłonek, że albo zostanę jego żoną, albo on upomni się o swe prawa do dziecka. Mam się dobrze namyślić i nie drażnić go. Powinnam wiedzieć, że on nie żartuje. Nie wiem, com mu odpowiedziała. Jak dzika wpadłam do pokoju mojego dziecka i porwałam je z poduszek. Przecież ja pragnęłam tylko jego. Niestety! w kilka minut potem przyszedł Alfred z lekarzem, który odebrał mi płaczące dziecko i oświadczył, że rozdrażniam je za bardzo, stan jego się pogorszy. A kiedy prosiłam, groziłam i w końcu popadłam w spazmy, mimo wszelkich protestów rozdzielono mnie z dzieckiem, Rudolfa umieszczono obok mieszkania opiekuna, a mnie zaczęto leczyć... jako chorą. Na drugi dzień kazałam wezwać do siebie Alfreda, on jednak przysłał mi bilet, że skoro będę zdrowa, chętnie powita mnie w jadalni. O! on był mądry, cokolwiek chciał mi powiedzieć, nie miało to mieć świadków.

Kiedy w południe przyszłam do jadalni, bawił się z Rudolfem w najmilszej zgodzie. Domyślałam się, że robił to dlatego, aby mnie podrażnić a zmylić otoczenie. Zapanowałam nad sobą i prosiłam go, aby mi dziecko oddał. Rudolf poznał mnie zaraz i zaczął ciągnąć mnie za suknię, rozpłakał się zaś, kiedy Alfred chciał go odemnie odsunąć. Wtedy baron zadzwonił, a służącemu rozkazał zawołać zaraz piastunkę dziecka Annę. Nie miano odwagi, aby ją od dziecka także odsunąć, gdyż Rudolf był za bardzo do niej przyzwyczajony.

Anna musiała natychmiast dziecko zabrać z pokoju, gdyż „pani baronowa potrzebuje spokoju“, oświadczył podstępnie baron. Chciałam zachować spokój i wszystko zrobić, aby tylko moje dziecko odzyskać. Na klęczkach prosiłam go:

— Nie odbieraj mi mojego Rudolfa.

Ironiczny śmiech był mi odpowiedzią.

— Wiesz, czego żądam, powiesz „nie“, to będę się mścił. Chłopak aż do pełnoletności należy do mnie, nie kocham go, ale on jest mi środkiem do celu. Nie będziesz żałowała, jeśli zostaniesz moją żoną. Wiem, że zwaryuję przez twój upór — dodał groźnie — nie cofnę się przed niczem. Powiedz „tak“, albo ja odbiorę ci twoją dobrą sławę i dziecko zostanie przy mnie.

— Podły!

To było wszystko, co potrafiłam odpowiedzieć. Nie, drugi raz nie chciałam się sprzedać, ale moje dziecko, mój jedyny klejnot, jak miałam go ratować z jego rąk? Przez szereg dni myślałam nad tem. Nie pozwolono mi widywać się z synem i trzymano go w ścisłem odosobnieniu. Mimo wszystkich ostrożności i nadzoru mogłam przecież zobaczyć się z moją wierną Anną, od której dowiedziałam się, że dziecko zdrowe. Ułożyłyśmy obie plan ucieczki i porwania dziecka. Chciałam z Rudolfem uciec za granicę. Na drugi dzień pojechałam do miasta. Wieczorem miała Anna przybyć za mną z dzieckiem do hotelu. Omówiłyśmy wszystkie najdrobniejsze szczegóły i Anna miała pod dostatkiem pieniędzy. Ile godzin niepokoju przebyłam w hotelu; kazałam sobie jedzenie podać do pokoju, aby nie zwracać uwagi. Wreszcie nadszedł wieczór, dorożki z kolei przejechały, Anny i dziecka nie było. Czekałam napróżno. Wierzyłam ciągle, że przybędą. Było już późno, oczy moje z rozpaczą wpijały się w ciemności, bolały i raziły mnie wielkie lampy łukowe. Niepokój wzrastał. Może zapóźniła pierwszy pociąg i przyjedzie pospiesznym o północy. Szybko włożyłam płaszcz i pojechałam na dworzec. Bez odpoczynku spacerowałam tam i z powrotem, aż nadjechał z hukiem pospieszny pociąg. Nie przywiózł mi mego dziecięcia. Błądziłam po ulicach, aż świtać zaczęło; chociaż wiedziałam, że już żaden pociąg nie przyjdzie, nie miałam odwagi wrócić do hotelu. Kiedy ranny pociąg znowu nie przywiózł oczekiwanych, upadłam wyczerpana na ławkę na kolei. W nocy padał deszcz. Mój płaszcz i kapelusz przemokły zupełnie, nie czułam jednak zimna ani wilgoci. Dopiero spojrzenia przechodniów zwróciły moją uwagę na mój własny wygląd i uczułam wstyd. Szybko wsiadłam do pierwszej spotkanej dorożki i pojechałam do hotelu. Zdziwiony powitał mnie portyer. Jako elegancka dama wyszłam z hotelu, w jakim stanie wracałam?! Na drugi dzień powróciłam do zamku. Nie mogłam znieść niepewności.

Zbyt rychło nastąpiło wyjaśnienie. Z tryumfującym uśmiechem na ustach przyjął mnie mój szwagier. Służba domowa zdawała się zupełnie na mnie nie zwracać uwagi. Mimo, iż zwykle na zewnętrzne formy sama mało zwracałam uwagi, obraziło mnie to i głęboko uczułam upokorzenie. Pracowano tu z rozmysłem przeciwko mnie. Alfred poprowadził mnie z wyszukaną grzecznością do swego gabinetu, przymknął drzwi, wskazał mi miejsce i stanął przedemną z założonymi rękoma, ściągając twarz grymasem uśmiechu.

— Tak, moja droga, uprowadzenie Rudolfa, mojego pupila, nie jest taką łatwą rzeczą. Jakże pani spędziła noc na ulicach Berlina, w jakiem towarzystwie obracała się moja dumna szwagrowa, baronowa Marya Wolfern?

— Szukałam mojego dziecka! nędzniku, gdybyś ty mógł odczuć ból serca matki!

— To brzmi bardzo wzruszająco, ale udowodnić tego nie potrafisz. Miasto jest wielkie, a noc jest milcząca. Zresztą portyer hotelu widział cię, wracającą w stanie, który nie zupełnie odpowiada wyglądowi lady.

— Alfredzie, ty odważasz się w ten sposób do mnie mówić?

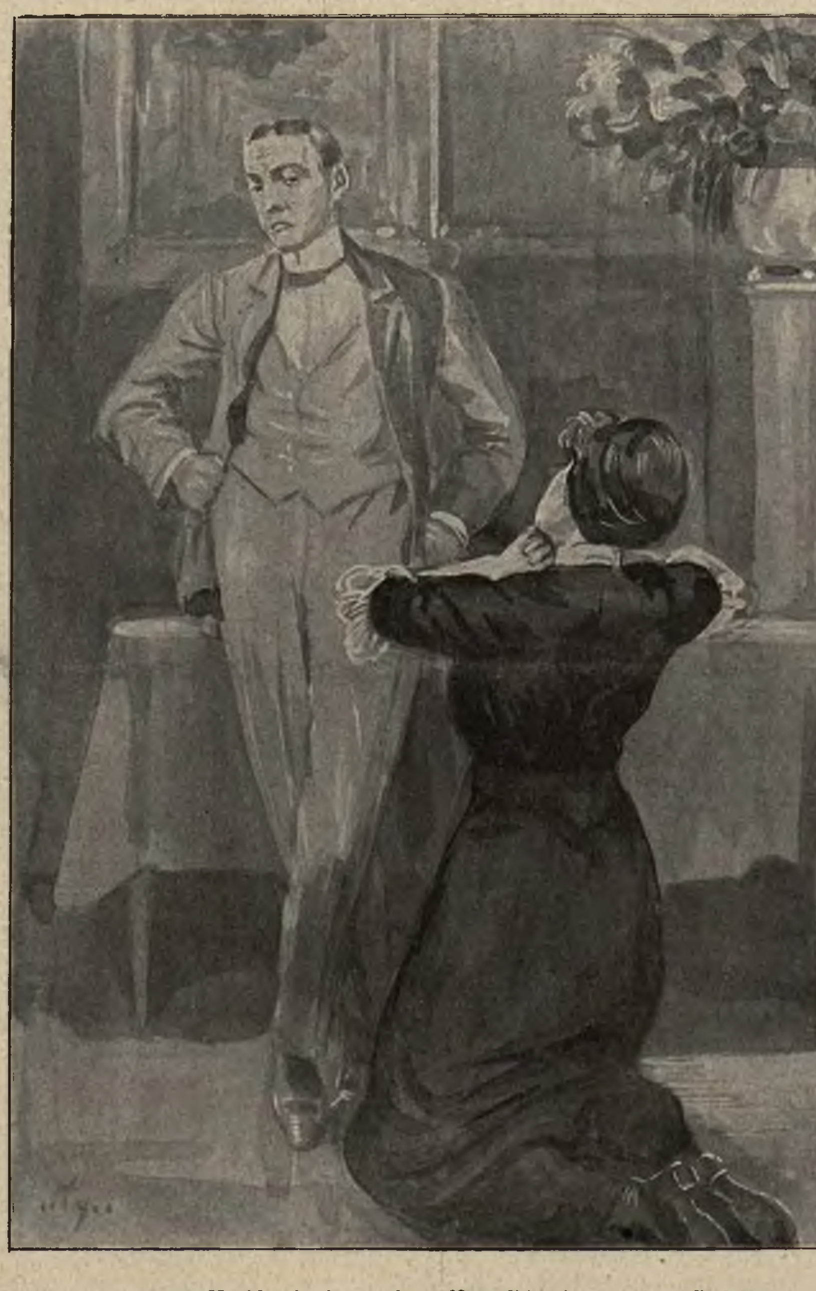
— Jeszcze więcej, kochana Margo — odpowiedział z ironią; — po tem wszystkiem zrozumiesz chyba, że dziecko bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje opieki opiekuna. Ja też z całym naciskiem będę bronił moich praw nawet w najostrzejszej formie, chyba, że zgodzisz się zostać moją żoną, wtedy odzyskasz także wszystkie prawa matki.

— Nigdy, nigdy! — zawołałam, — ale o moje dziecko podejmę walkę wszelkimi środkami.

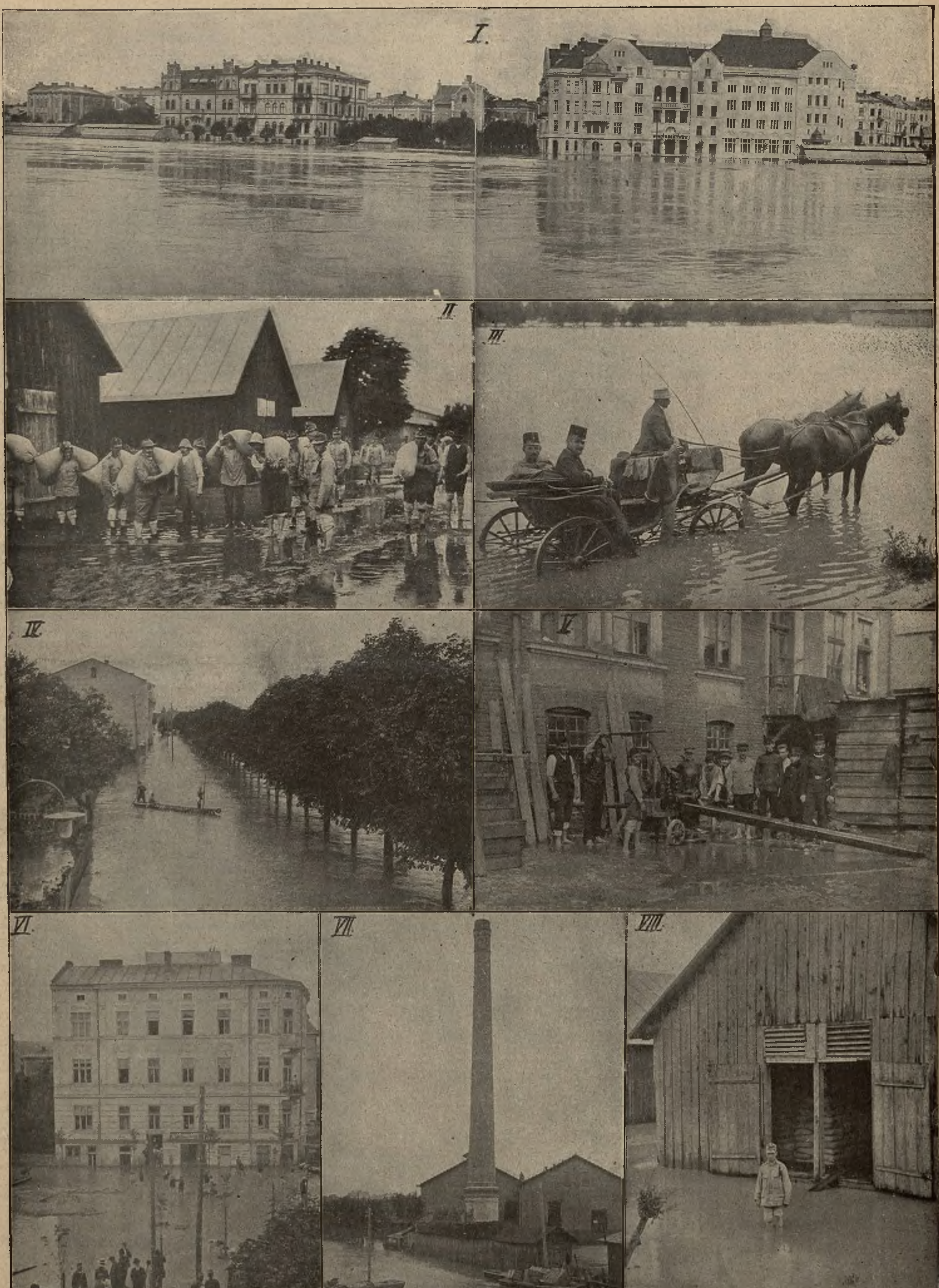
Jeszcze o tej samej godzinie opuściłam pałac.

Prawnik, do którego się zwróciłam, robił mi małe nadzieje.

Ciąg dalszy nastąpi.



— Na klęczkach prosiłam: Nie odbieraj mi mojego Rudolfa!



Katastrofalny wylew Sanu: I. Wybrzeże Kościuszki pod wodą. II. Żołnierze i robotnicy, zajęci przenoszeniem owsa z zalanych magazynów wojskowych. III Komisya wojskowa na miejscu powodzi. IV. Ulica Panieńska. V. Pompowanie wody z fabryki Bystrzyckiego. VI. Ulica Rybacka. VII. Centrala elektryczna. VII. Magazyny wojskowe na Krównikach. (Fot. M. Todt, Przemyśl).

Kronika tygodniowa.

Czarna melancholia ogarnia mnie na samą myśl, że znów piwo pilzneńskie podrożeje i to, jak powiadają, aż o cztery halerze na bombce, czyli, że odtąd zamiast dawnych piętnastu centów, będziemy zmuszeni za szklankę tego nektaru płacić aż dwadzieścia jeden!

Czy nie jest to krzywda o pomstę do nieba wołająca?

I za to, że Niemcy drą się z Czechami, że sobie nawzajem podstawiają nogę, my mamy za to płacić?

Nie! Raczej wyrzekniemy się tej przyjemności, jaką jest gaszenie piwem pragnienia, albo zaczniemy używać któregoś z krajowych, n. p. żywieckiego lub okocimskiego. W niczem one pilznerowi nie ustępują, są wytworem krajowego przemysłu, co zaś najważniejsze, daleko mniej kosztują.

Podobno w. tych dniach będzie zwołany ogólny wiec „pilznerowców“, którzy mają się zastanowić, co i jak czynić należy, by nie pokutować za winy niepopełnione.

Coraz więc gorsze nastają czasy, niedługo znajdziemy się w tem miłem położeniu, że przyjdzie zginąć z głodu i pragnienia.

Bo co już nie drożeje!

Nawet cesarsko królewskie wydawnictwo książek szkolnych postanowiło pójść w ślady rzeźników i piekarzy i od września podnieść ceny wszelkiego rodzaju podręczników dla szkół ludowych i wydziałowych. Podrożenie to jest wprawdzie małe, w każdym przecież razie odbije się dość dotkliwie na kieszeni biednych ojców, którzy dzieci swe muszą posyłać do szkoły.

Na całym świecie starają się ludzie o to, aby oświecenie jak najszerszych sfer o ile możności ułatwić, tylko u nas dzieje się wprost przeciwnie.

Że zaś nie będzie lepiej, a przynajmniej nie tak predko, możemy się spodziewać choćby tylko ze względu na cudowną pogodę, jaką mamy tego roku.

Szczęśliwy, kto został w mieście, letnicy całymi tygodniami nie wystawiają nawet nosa na świeże powietrze. Leje i leje. Człek dziwi się, skąd się tam bierze tyle wilgoci.

Siano zgniło przeważnie, zboże jeszcze nie dojrzało, a już gnije, widmo głodu wisi nad naszym krajem, jak miecz Damoklesa. Nawet tak nieczuły na biedę pan, jak minister Zaleski, widział się zmuszonym wydać podwładnym urzędom polecenie, aby w tym roku były względne przy ściąganiu podatków i czyniły możliwe ułatwienia.

I jak przy tem wyglądają owe „pomyślne konjunktury“ pana wiceprezydenta Szlachtowskiego?

Oj, że one są pomyślne, to każdy wie. Będziemy niedługo musieli się obywać bez butów i innych części garderoby, osłodzimy sobie przecież dolę bieńczyckim cukrem, o ile *nota bene* fabryka tam powstanie.

Podobno, tak przynajmniej twierdzi *Gazeta poniedziałkowa*, ekscellencya Korytowski poczynił we Wiedniu starania, aby uzyskać od rządu jak najdalej idącą pomoc i pono usiłowania jego nie pozostały bez rezultatu, gdyż rząd wyasygnował znaczne sumy na rozpoczęcie robót publicznych.

A tymczasem wojsko stawia coraz to większe żądania, motywując je doświadczeniami, nabytemi w ostatnich czasach. Aczkolwiek przed dwoma laty przyobiecał solennie pan minister obrony krajowej, że dziesięć lat będzie siedział cicho i nie zażąda ani podwyższenia rekruta ani normalnych kredytów na wojsko, teraz woła „na razie“ o pięćdziesiąt tysięcy ludzi więcej (dalszy ciąg nastąpi), reorganizacya armii wymagać zaś będzie jednorazowego kredytu w kwocie „tylko“ czterdziestu milonów, a potem stale co rok po ośm milionów. Ale nie guldenów, broń Boże! tylko koron!

Jest to skutek zbrojeń, doprowadzonych rzeczywiście do absurdu, a zainicyowanych przez Niemcy, owego, jak słusznie powiadają, „sojusznika w lśniącej zbroi, z którego monarchia nie miała nigdy pozytywnego pożytku, ale którego życzenia stają się dla pewnych sfer austryackich poniekąd rozkazem“.

I jak tu marzyć choćby o poprawie stosunków ekonomicznych, skoro cały zasób gotówki musi być poświęceny wojskowemu Molochowi, a on mimo to wiecznie głodny i nienasycony.

Choćby nawet w parlamencie i odezwał się ktoś w obronie uciemiężonych podatników, zamykają mu usta jednym frazesem: względy wyższej polityki!

A właśnie ta wyższa polityka kuleje coraz bardziej. Madziarzy, którzy prawie całą austryacką dyplomacyę ujęli w swe ręce i nadają jej ton, jaki im jest wygodniejszy, z pobudek narodowych i osobistych sprzeciwiają się załatwieniu sprawy południowo-słowiańskiej, która jest prawdziwą bolączką naszej monarchii.

Ich także wina, że kierownicy austryackiej polityki zagranicznej w ostatnich czasach nastrzelali tyle bąków, że dla kogo innego już ich nie wystarczy. Należałoby ustanowić dla nich, w myśl ustawy łowieckiej, jakiś czas ochrony.

Już to rzeczywiście nie mieliśmy szczęścia na Bałkanie, na każdym kroku prześladowało nas nieubłagane *fatum*. Wystarczy powiedzieć, że nawet ambasador austryacki w Konstantynopolu, margrabia Pallavicini, wbrew swej woli skąpał się w morzu, dzięki Bogu jednak na tem się tylko skończyło. Ale dostąpił zato zaszczytu, gdyż sam sułtan jegomość raczył się dowiadywać, czy też nie poniósł jakiegoś szwanku na zdrowiu.

Ile niespodzianek czeka nas jeszcze *ex re* wojny bałkańskiej, tego nikt powiedzieć nie może, są nawet tacy, którzy powiadają, że to nie koniec, skoro bowiem Turcy odebrali napowrót Adryanopol, kto wie, czy nie pokuszą się także i o wyspę Ada Kaleh, którą im pan Berchtold zabrał *jure caduco*.

Wypadałoby także, aby Serbowie i Grecy wzięli się troszkę za łby, wiadomo bowiem, że wielka przyjaźń kończy się zazwyczaj wojną.

Jeśli można wierzyć dotychczasowym relacyom, sprawa pokoju i ostatecznego uporządkowania spraw bałkańskich jest na najlepszej drodze, choć zawarcie pokoju pociągnie za sobą ogromnie doniosłe następstwa natury gospodarczej i politycznej.

Austrya, której najżywotniejsze interesy wiążą się z półwyspem, nie będzie mogła siedzieć z założonemi rękami, a takich, jak ona, jest więcej.

Możemy więc czekać nowych niespodzianek!

A tymczasem deszczyk ani myśli przestać padać, w poniedziałek zaś zamienił się w prawdziwe oberwanie chmury, które miało tę jedną dobrą stronę, że wypłukało śmieci z całego miasta i uniosło je do modrej Wisełki. We wtorek mieliśmy już pogodę, nie chcę jednak przepowiadać, że będzie ona stałą, gdyż w ostatnich czasach wszystkie moje przepowiednie tak polityczne, jak meteorologiczne, przeważnie się nie spełniły.

Zawiodły i przepowiednie górali, którzy podobno znają się bardzo dobrze na pogodzie. Utrzymywali, że lato będzie suche i skwarne, widzimy, że jest akurat wprost przeciwnie, ale znów pocieszają nas, iż od piętnastego sierpnia możemy być pewni stałej pogody, która potrwa już do późnej jesieni.

Najgorzej na tej przeklętej aurze wyszli słomiani wdowcy, którzy nie mogli się tak zabawić w czasie nieobecności swych połowic, jakby pragnęli. Z konieczności trzeba było siedzieć albo w domu, albo w knajpie. Nosy pospuszczane na kwinty, humory rzeczywiście „pod psem“, słowem prawdziwa kanikuła, choś w innem, niż zazwyczaj wydaniu.

Przy tej sposobności, badając życie i zwyczaje słomianych wdowców, przekonałem się, że bardzo wiele czasu spędzają oni w tak zwanych nocnych kawiarniach, jakich się w Krakowie w ostatnich czasach ogromnie wiele namnożyło.

Są to instytucye, jakby dla słomianych wdowców stworzone. Przez cały dzień nie ujrzysz tu żywego ducha, ruch zaczyna się dopiero późnym wieczorem i trwa prawie aż do białego rana, choć i tutaj daje się odczuć ogromny zastój i brak monety.

W każdym z tych lokali przygrywa mniej lub więcej fałszywie orkiestra, przeważnie damska, zbierająca zato bardzo pilnie na talerzyk pięciocentówki i szóstki, ginące potem w bezdennym worku pana dyrektora, takie bowiem miano nosi zwykle kapelmistrz.

W niektórych „kawiarniach“ można się okupić, składając jednorazowo koronę, za co otrzymuje się tak zwaną *Enthebungskarte*, wystawioną w języku niemieckim, gdyż ten w tego rodzaju przedsiębiorstwach ma stanowcze pierwszeństwo.

Wybór potraw i napoi pozostawia bardzo wiele do życzenia, ceny natomiast są wyśrubowane aż do niemożliwości. Zdarzyło mi się raz w życiu spotkać kelnera z takiej nocnej kawiarni w pewnym handlu win. Zamawiał sześć butelek wina węgierskiego po koronie, wymagał jednak, aby flaszki były elegancko okabzlowane.

Pytam go, poczemu będą sprzedawać to wino, odpowiedział całkiem spokojnie, że po pięć koron.

To rozumiem, to jest interes, czysty, jak złoto! W tym samym stosunku ustanowione są ceny i innych artykułów spożywczych. Od czasu do czasu znajdzie się naiwny gość, który postawi i szampana, a może być pewnym, że otrzyma go pierwszej marki z renomowanej krajowej fabryki na Kazimierzu, ale z etykietą francuską...

Pisałbym jeszcze, boję się jednak zemsty ze strony słomianych wdowców, którzy z pewnością wypowiedzą mi walkę na śmierć i życie, iż poważyłem się zdradzić tak straszną tajemnicę, gdzie oni spędzają czas swego chwilowego wdowieństwa.

Niech jednak mszczą się, ja wiem, że działam w imię dobrej sprawy. To ich chyba także powinno pocieszyć, że i ja sam kręcę równocześnie bicz na siebie, gdy bowiem moja stara to przeczyta, jestem pewny, że zjawi się w Krakowie i spyta mnie wielkim głosem:

— A ty, grzeszniku, skąd wiesz o tem wszystkiem?

Odpowiem jej bez trwogi, że jako kronikarz muszę przecież znać życie we wszelkich jego przejawach i robić odpowiednie studya. Wątpię jednak, czy będzie chciała w to uwierzyć.

Każdy z was, zacni towarzysze niedoli wakacyjnej, niech zrobi tak samo, a może będzie mieć spokój.

Ogromnie ucieszyła mnie wiadomość, jaką wyczytałem w pismach codziennych, że pan *Kurdirektor* w Sobotach, widocznie prawy hakatysta, odezwał się publicznie, że *wir brauchen hier keine Polen!...*

Bardzo znamienne odezwanie, być może, że wpłynie ono na naszych kuracyuszów, aby Szwabom swymi pieniądzmi kieszeni nie wypychali. Jeśli już ktoś chce koniecznie udawać w morzu śledzia, sardynkę lub wieloryba, niech szuka takiego miejsca, gdzie za jego własne pieniądze będą się z nim po ludzku obchodzić. Wszak mamy kąpiele morskie i w innych krajach!

Panu *Kurdirektorowi* muszę zaś otwarcie powiedzieć, że bardzo lichy zeń kupiec, czy przemysłowiec. Interes nie powinien nigdy nic wspólnego mieć z polityką, bo na tem tylko cierpi. Ponieważ *gros* gości w Sobotach stanowią Polacy, jeśli oni zbojkotują uzdrowisko, któż szkodę materyalną poniesie? Sami właściciele, hotelarze, restauratorzy, kupcy i przemysłowcy. Nie wiem, czy będą oni tak bardzo wdzięczni panu *Kurdirektorowi*, który im oddał prawdziwie niedźwiedzią przysługę.

Z okazyi tegorocznego kongresu partyi socyalistycznej w Niemczech, który odbędzie się w Jenie, dowiadujemy się ze sprawozdania zarządu centralnego, iż socyalizm niemiecki, dotąd tak potężnie rozwijający się, zaczyna się powoli cofać. Liczba członków partyi w roku sprawozdawczym tak minimalnie się zwiększyła, że właściwie można mówić o zastoju w rozwoju, zmniejszyła się też liczba abonentów pism partyjnych.

Głównego kontyngentu nowych członków (ponad dziesięć tysięcy) dostarczyły kobiety.

Dla partyi wojującej, a jest nią socyalizm, takie drobne cofanie się jest bardzo złym znakiem. Widocznie hasła, głoszone przez następców Marksa, Engelsa i Liebknechta, zaczynają się przeżywać.

O najważniejszej rzeczy byłbym na śmierć zapomniał! Pod Mogiłą, owem miejscem, dokąd Krakowianie tak chętnie robią wycieczki, odkopano starą osadę przedhistoryczną i znaleziono... koronę, ale nie austryacką, lecz, jak sobie opowiadano, samej królowej Wandy! Radość między archeologami okropna, przygotowano trzy wagony papieru na rozprawy i zamówiono całą cysternę atramentu...

Pokazało się jednak, że to nie była korona, ale jakiś stary łańcuszek, zgłosił się nawet pewien jegomość, który twierdził (nie wiem, czy mu można wierzyć), że przed laty dwoma zgubił tam łańcuszek od parasola, mający wielką wartość archeologiczną, parasol ten odziedziczył bowiem po dziadku. Archeologowie, konserwatorowie i inni, mniej lub więcej powołani znawcy sztuki będą więc mieli nielada orzech do zgryzienia.

Niczem przed laty walka o ruiny po szpitalu św. Ducha, potem o ruderę koło kościoła św. Idziego! Będzie teraz dopiero można popisać się znawstwem sztuki i zdobyć sobie ostrogi na tem polu. Już widzę, ile to rozpraw ujrzy światło dzienne. Pierwsza z nich powinna nosić tytuł: „Parasol czy korona“, i wyjść nakładem Akademii Umiejętności, oprawna w cielęcą skórkę, albo może nawet w pergamin.



Orszak weselny wyrusza z pałacu do kościoła.



Weselne gody w Krzeszowicach: Panna młoda, Izabela hr. Potocka, z matką hr. Andrzejową Potocką.

Katastrofalny wylew Sanu.

Dwukrotnie już wspominaliśmy o klęsce powodzi, jaka nawiedziła Przemyśl i jego okolice. Zdawało się, że chyba będzie już dosyć, tymczasem dowiadujemy się, że w dniu 4-go sierpnia nawiedził miasto piąty wylew w roku bieżącym, największy od lat dwudziestu.

Od soboty wieczór zaczął się podnosić poziom Sanu, początkowo powoli, później coraz gwałtowniej, aż wreszcie o godzinie jedenastej w południe w niedzielę osiągnął maximum, to jest 5 m 10 cm ponad poziom normalny, a 6 m 90 cm od dna rzeki.

Woda zaczęła występować z brzegów, wkraczała także kanałami w coraz to dalsze ulice, tak, że gdy dzień nastał, całe prawie Zasanie wyglądało, jak Wenecya. Wystarczy powiedzieć, że w niektórych miejscach zalała woda mieszkania parterowe wyżej, niż na metr. Do zakładu Brata Alberta, który sterczy jak wyspa z otaczającego ją jeziora, żywność pensyonarzom musiano dowozić łodziami.

Na niektórych ulicach dosięgła woda dwa metry wysokości, w wielu domach zalała piwnice, parowa fabryka Bystrzyckiego, skutkiem zalania hali maszyn, unieruchomiona na kilka tygodni. Do realności Bernsteina w ul. Słowackiego, o dwa kilometry od koryta Sanu i do położonych obok koszar 10 p. p. dostała się woda kanałami i poczyniła ogromne szkody.

Około czwartej rano pojawiło się mnóstwo łodzi pionierskich, strażackich i prywatnych, które pospieszyły z pomocą, wywożąc mieszkańców ze zalanych domów. Ogółem musiano opróżnić trzydzieści pięć budynków zagrożonych.

Ponieważ woda unosiła ze sobą różne przedmioty, między nimi belki i kłody, które mogły bardzo łatwo uszkodzić most drewniany, zamknięto go dla ruchu wozowego, później zaś i osobowego.

Najgorszą niespodziankę zrobiła jednak mieszkańcom elektrownia miejska. Do hali maszyn wdarła się woda, miastu brakło prądu. Jedynie nabite akumulatory miały pewną ilość siły, nie wystarczającej jednak dla oświetlenia całego Przemyśla.

Ogłoszono tedy wszem wobec i każdemu z osobna, sposobem znanym z przed pół wieka, tj. przez bębniącego policyanta, że wieczorem nastaną egipskie ciemności. Kto i jak mógł zaopatrzył się w świece i naftę, miasto oświetlały tu i owdzie pochodnie i aparaty benzynowe, wypożyczone ze stacyi kolejowej.

W restauracyach, kawiarniach i cukierniach migotają świeczki, kinoteatry zamknięte. Około dzie-



Weselne gody w Krzeszowicach: Śniadanie w pałacu po ceremonii zaślubin hr Izabeli Potockiej z Franciszkiem hr. Krasińskim.



Nowe walki sufrażystek w Anglii: Demonstracyjny pochód sufrażystek w Hyde-Parku.

wiątej wieczór prądem z akumulatorów oświetlono ważniejsze ulice i część miasta, nawiedzoną powodzią.



Nowe walki sufrażystek w Anglii: Demonstracya sufrażystek i aresztowanie p. Pankhurst przed domem premiera Asquitha.

Równocześnie ze Sanem wystąpił z brzegów także Wiar.

Jak daleko okiem sięgnąć w górę i w dół rzeki, jedno morze, z którego sterczą samotne drzewa i dachy domów, zalanych n. p. na Wilczu na wysokość trzech metrów! San wylał tu na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych. W Hurku zabrała woda z łanów dworskich trzy tysiące kóp zboża, w Ostrowie podobno uratowano z dachu płynącej chałupy dwoje ludzi.



Weselne gody w Krzeszowicach: Podarki ślubne.

W niedzielę wieczór poziom wody na Sanie, który był już opadł, zaczął się zwolna podnosić i z 4 m 35 cm doszedł w poniedziałek rano do 4 m 75 cm, a wobec ciągłych deszczów grozi niebezpieczeństwo jeszcze wiekszego wylewu. Nic też dziwnego, że w mieście i okolicy ogólne przygnębienie i konsternacya. Szkody obliczają na miliony.

W kilku miejscach uszkodziła woda także tor



Katastrofalny wylew Sanu: Dziesięcioletni Piotr Czehara, który zatrzymał i uratował od katastrofy pociąg pomiędzy Dobromilem a Posadą Chyrowską.

kolejowy i tylko dzięki ostrożności służby kolejowej nie przyszło do katastrofy. Na przestrzeni Dobromil-Posada Chyrowska, gdzie tor kolejowy został znacznie uszkodzony przez powódź, uratował pociąg osobowy od katastrofy nieletni chłopiec Piotr Czehara, który zdołał sygnałem pociąg zatrzymać. Podobiznę tego dzielnego chłopca podajemy w dzisiejszym numerze.



Zgon artysty dramatycznego: Ś. p. Maryan Knake-Maryański.

Nowe walki sufrażystek w Anglii.

Sufrażystkom angielskim nie można odmówić wytrwałości. Pomimo coraz surowszych represyi ze strony władz — nie przestają kontynuować swej awanturniczej walki za równouprawnieniem kobiet. Za teren swych występów wybierają różne publiczne miejsca i urzędy, gdzie niszczą, co tylko im w ręce wpadnie.

Przed kilku dniami w Birmingham wydawano bankiet na cześć premiera Asquitha. Sufrażystki, które korzystają z każdej sposobności, aby premie-

rowi dokuczyć, urządziły napad na salę bankietową i wybiły wszystkie szyby. Policya rozproszyła demonstrantki kijami. Personal hotelowy, który popiera ruch sufrażystek, zastrejkował jednak, tak, że bankiet nie mógł się odbyć, aż sprowadzono inną usługę.

Bożyszczem ruchu sufrażystek jest pani Pankhurst. Wskutek strejku głodowego, jakiego się chwyciła w więzieniu, na które została skazana, została ona niedawno wypuszczona na wolność, z tem zastrzeżeniem, że nie wolno jej się pokazywać publicznie, inaczej zostanie znowu zaaresztowana.

Tymczasem pani Pankhurst nie zastosowała się do tego polecenia. Przeciwnie, sufrażystki angielskie urządziły na jej cześć ogromne zgromadzenie połączone z uroczystym pochodem. Pani Pankhurst przybyła na to zgromadzenie i przemawiała. Policya wtargnęła na zebranie i zaaresztowała gorliwą przywódczynię. Wśród ogromnych tłumów odwieziono p. Pankhurst do więzienia.

Weselne gody w Krzeszowicach.

Cichy od czasu śmierci ś. p. namiestnika Andrzeja hr. Potockiego pałac w Krzeszowicach zaroił się w ubiegły wtorek mnóstwem gości, którzy zjechali się ze wszystkich stron Polski na uroczystość zaślubin Izabeli hr. Potockiej z Franciszkiem hr. Krasińskim, synem Kazimierza. W uroczystości tej wzięli udział nie tylko przedstawiciele wszystkich polskich rodów arystokratycznych i liczne grono wybitnych osobistości, ale także okoliczna ludność wiejska, która zarówno pamięć zamordowanego namiestnika, jak i jego rodzinę otacza ogólną czcią i sympatyą.

W dniu zaślubin przybyły też liczne deputacye z dóbr hr. Potockiej i włościańska banderya.

Przy dźwiękach orkiestr, ustawionych przed pałacem, wśród szpaleru dziewcząt wyruszył z pałacu orszak ślubny do kościoła.

Po obrzędzie zaślubin odbyło się przyjęcie zaproszonych gości w letnim, wspaniale przystrojonym, pawilonie pałacu krzeszowickiego.

Lwowski Chór akademicki w zdrojowiskach.

Doroczne wycieczki lwowskiego Chóru akademickiego do zdrojów galicyjskich są tak już utartą atrakcyą sezonu kąpielowego, że bawiąc w zdroju w pierwszych dniach sierpnia, czeka się niemal



Lwowski chór akademicki w zdrojowiskach: Grupa członków chóru.

z przyzwyczajenia, kiedy na deptaku ukażą się tradycyjne białe czapeczki lwowskich chórzystów (a w tym roku — dodajmy nawiasem — i białe, modne kołnierze). Oznacza to niezawodnie, że jest w odwodzie koncert „lwowskiego Chóru akademickiego“, impreza zawsze interesująca, bo drużyna lwowska bierze sobie doroczne występy zdrojowe za punkt ambicyi, a ćwiczona pod dzielną batutą swego długoletniego dyrygenta, p. Edwarda Jurczyńskiego, daje produkcye poprawne i szczerze artystyczne. Koncert ten przedstawia poza tem także pewną wartość dla melomanów, bo jest polem popisu dla młodych talentów, wykonujących punkta solowe programu. — Współudział taki przyjął obecnie artysta-skrzypek, znany zaszczytnie z estrady koncertowej, a kryjący się pod pseudonimem Tadeusza Szarskiego, oraz utalentowany pianista i akompaniator, Tadeusz Müller. Zresztą koncerty tegoroczne, wobec fatalnej aury, są bardzo pożądaną rozrywką, tembardziej, że drużynie śpiewaczej towarzyszy ulubieniec lwowskiej publiczności, Maryan Güntner, arcymiły piosenkarz i wyborny humorysta, znany ze scenki dawnego „Ula“.

Wycieczka tegoroczna, prowadzona przez przewodniczącego Towarzystwa, p. Bronisława Legieżyńskiego, gościła kolejno: 2-go sierpnia w Żegiestowie, 4-go w Krynicy, 6-go w Zakopanem, a stamtąd udaje się do Rabki i do Szczawnicy, a zakończy turnée w Niemirowie-zdroju, który drużyna po raz pierwszy włączyła w plan swojej wędrówki.

Zgon artysty dramatycznego.

Teatr krakowski poniósł przed kilku dniami niespodziewaną stratę. Nieubłagana śmierć z szeregu wybitnych pracowników sceny wyrwała jedną z sił bardzo cenionych, którą ostatnie lata pracy scenicznej z krakowskim teatrem ściśle związały. Po krótkiej chorobie zmarł w Krakowie Maryan Knake-Maryański, artysta dramatyczny, przeżywszy lat 26. Syn znakomitego aktora polskiego, Stanisława Knake-Zawadzkiego, wstąpił na scenę jako młody adept, a już szereg jego pierwszych występów wróżył mu świetną przyszłość. Karyerę sceniczną rozpoczął na deskach teatru ludowego, a następnie przeszedł na scenę teatru miejskiego w Krakowie, gdzie za dyrekcyi p. Ludwika Solskiego wybił się na poważne stanowisko.

Ogólnie lubiany przez kolegów i publiczność, zajął wybitne stanowisko w zakresie ról bohaterskich i dramatycznych. Po kilku artystach, którzy opuścili krakowską scenę, objął szereg poważnych ról, tworząc kreacye, w których zawsze ujawniał obok talentu dużo żywiołowej siły i szczerości.

Niespodziewanie przyszła choroba. P. Maryański przeszedł jedną operacyę, w niedługim czasie stan znowu się pogorszył i musiano dokonanać drugiej operacyi. Niestety, nie tak szczęśliwy był jej wynik, jak przypuszczano pierwotnie. Młode życie padło ofiarą, a wraz z niem zgasły nadzieje, pokładane w tym młodym artyście. Krakowska scena straciła utalentowanego pracownika, koledzy dobrego współtowarzysza, a sztuka jednego z dzielniejszych jej pionierów.

Żegnał go szczery żal kolegów i publiczności, która lubiła go i ceniła.

W dzisiejszym numerze podajemy podobiznę zmarłego artysty.

Dla młodzieży rzemieślniczej.



Dla młodzieży rzemieślniczej: Rzemieślnicze drużyny Towarzystwa Zabaw Ruchowych we Lwowie.

Lwowskie Towarzystwo Zabaw Ruchowych szerzy kult wychowania fizycznego nie tylko wśród młodzieży szkolnej, lecz od lat kilku ogarnia również sfery młodzieży rzemieślniczej, otaczając ją szczególniejszą opieką i ofiarowując w swym pięknym parku zupełnie bezinteresownie przybory do gier, boiska i szatnie.

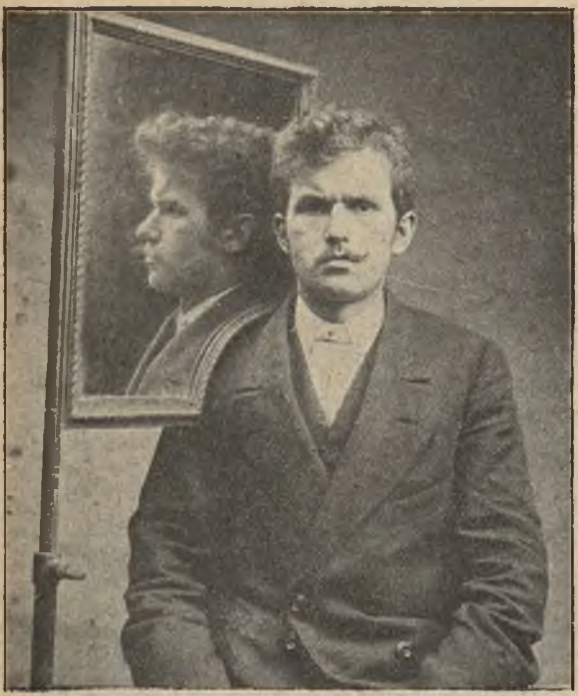
Każdego roku w czasie wakacyjnym organizuje Towarzystwo dla tych drużyn zawody lekko-atletyczne — przynoszące zwykle bardzo ładne wyniki — oraz zawody w piłkę nożną.

Nie ulega też wątpliwości, że Zarząd Towarz. Zabaw Ruchowych oddaje społeczeństwu doniosłą przysługę, bo gromadząc w dni świąteczne na wolnem powietrzu dla godziwej rozrywki młodzież, pracującą fizycznie przez cały tydzień, w warunkach częstokroć nader niehygienicznych — działa w ten sposób dodatnio nie tylko na zdrowie ciała, ale i duszy, oddalając ją od zepsuciem tchnących podmiejskich ogródków, szynków i t. p.

Zamieszczona illustracya przedstawia 8 drużyn rzemieślniczych, biorących udział w zawodach w piłkę nożną. Są to drużyny: „Grenada“, „Litwinka“, „Lwowia“, „Switeź“, „Tęcza I“, „Tęcza II“, „Warta I“, „Warta II“.

Z kotła bałkańskiego.

Wojna nie jest idyllą, niemniej jednak współczesne państwa starają się złagodzić jej okropności i unikać podczas walki zbytecznych okrucieństw.



Światowi włamywacze w Krakowie: Jan Radelicki vel Berger.

Prawo międzynarodowe otoczyło zwłaszcza opieką ludność cywilną, której życie i mienie nawet na wojnie powinno być szanowane. Niestety, te humanitarne postanowienia nie przeniknęły jeszcze na Bałkany.

Tocząca się tam wojna była jednym szeregiem rzezi i okrucieństw. Wyrzynanie i palenie zdobytych wsi i miasteczek, znęcanie się nad bezbronną ludnością było na porządku dziennym, zarówno podczas pierwszej, jak i drugiej wojny bałkańskiej... Pod tym względem przeciwnicy płacili sobie „pięknem za nadobne“. Bułgarzy rznęli Turków, Serbów i Greków, a Turcy, Serbowie i Grecy rznęli Bułgarów... Palił i mordował ten, kto miał tylko do tego sposobność... To też miejscowości przez które przeszły zwycięskie armie, przedstawiają okropny obraz zniszczenia.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy szereg illustracyi z tego kotła bałkańskiego, w którym ciągle wre, a który w obecnej wojnie zamienił się w istne piekło rzezi i zniszczenia.

Światowi włamywacze w Krakowie.

Przed kilku dniami Kraków miał ciekawą „sensacyę“. Zawitali do miasta specyaliści od wytrycha, wyszkoleni w „fachowych“ szkołach amerykańskich, którzy chcieli urządzić tutaj gościnny występ. A było ich dwóch i w dodatku bracia rodzeni, zwali się Radeliccy i pochodzili z Suchej.

Jeden z nich, operujący pod przybranem nazwiskiem Johna Bergera, liczył lat 26, i wyemigrował do Ameryki, gdzie ostatnimi czasy „pracował“ w Chili. Drugi zaś, 18 letni Stanisław Radelicki, był pomocnikiem handlowym i przez pewien czas pracował w tym charakterze w składzie herbaty p. Juliusza Grossego w pałacu Spiskim w Krakowie.

Otóż p. Stanisław utracił posadę i natknął się na swego braciszka, będącego czasowo „bez zajęcia“. Zaproponował mu więc, aby zużytkował swe zdolności w Krakowie i spróbował dobrać się do obficie zaopatrzonej kasy jego byłego pryncypała p. Grossego. Przybyli obaj do Krakowa i tu przygotowali się do akcyi.

Mieli jednak pecha. Policya dowiedziała się o ich zamiarach i zastawiła na nich sidła. Przed kilku dniami w cichą noc letnią wybrali się, zaopatrzeni w potrzebne przybory i specyalne narzędzia złodziejskie na wyprawę.

Z powodu przebudowy domu jedna ściana sklepu była zaszalowana deskami i przez nią chcieli specyaliści dostać się do wnętrza. Policya umieściła w środku 20 agentów, zaś kilku patrolowało przed domem. Kiedy bracia Radeliccy rozpoczęli swą „pracę“, nagle zostali pochwyceni i przyaresztowani.



Światowi włamywacze w Krakowie: Stan. Radelicki.

Podczas rewizyi znaleziono przy nich bardzo wiele ciekawych przyborów i przyrządów złodziejskich najnowszej konstrukcyi oraz znaczną kwotę pieniędzy w różnych monetach.

Śledztwo ustaliło, że przybyli oni do Krakowa z Brukseli, gdzie przygotowali się do krakowskich występów.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 30.

Trójkąt magiczny:

G r o t t g e r A r t u r
R e p r e z e n t a n t
O r g a n i z a t o r
T r y k l i n i u m
T r y b u l a r z
G a b l o t k a
E s k u l a p
R e k t o r
A o r t a
R u f a
T u z
U m
R

Zadanie do przestawienia: Kto łże, ten wisi

Szarada: Serwety

Zadanie do przestawienia: Goły rozboju się nie boi.

Przekładanka:

H i p o t e n u z a
E k o n o m i s t a
L i c h t a r z y k
E g z e m p l a r z
N u n c y a t u r a
A r l e k i n a d a
B o m b a r d y e r
O r ę d o w n i c a
G e r m a n i s t a
U m i z g a l s k i
S p e k u l a c y a
K o n t e r f e k t
A u s k u l t a n t

Bilety wizytowe: Trafikant; Traktyernik; Oberżysta.

Na wakacyach (szarada): Fatalna niepogoda.

Przysłowiówka: Kto pije, długo żyje

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Lwów, E. Niestenberger Lwów, M. Arbesbauer Lwów, K. Galiński Sambor, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, J Cisowski Warszawa, S. Krzyżanowski Kraków, J. Roland Kraków, K. Rosenbaum Rozwadów, F. Blätterfeind Lwów, W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Czarkowski Uhnów, J. Kozicki Stanisławów, L. Lang Kraków, T. Szumski Ryga, K. Armatys Lwów, J. Nowacki Lwów, H. Chmurowicz Częstochowa, J. Orzechowski Kalisz, J. Sadowski Kraków, S. Rogowski Kołomyja, T. Biliński Tarnów, K. Janik Drohobycz, M. Link Lwów, R. Czapuczyński Kijów, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Tarnopol, W. Swirski Piotrków, D. Dorożyński Odessa, C. Wang Tarnobrzeg, K. Sawliński Jasło, H. Trojacki Wiedeń, J. Biechońska Stanisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, S. Galiński Sandomierz. J. Lichański Warszawa, T. Mazaraki Radom, B. Zbigniewicz Kraków, J. Broda Rzeszów, M. Więckowska Łódź, A. Pick Warszawa, K. Bandrowski Lwów, J. Kwaśniewski Przemyśl, K. Lindenbaum Czerniowce, R. Radomski Czerniowce, H. Górska Lwów, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Zachara Krosno, K. Król Kołomyja, J. Walter Podwołoczyska, K. Misińska Złoczów, J. Sliwiński Brzostek, D. Ligęza Tarnów, W. Kalinowska Kalisz, Ch. Rosenblum Borszczów, J. Trepka Radom, J. Raczyński Kołomyja, H Górska Lwów. K. Stefański Lwów, M. Winter Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, D. Łopatyński Kraków, S. Jasiński Rzeszów, H. Maciejowska Winnica, M. Rychlik Jasło, S. Sokołowski Kraków, Z. Dębiński Lwów, K. Stojanowski Stanisławów, M. Sikorska Stanisławów, R. Bukowski Kijów, J. Kaczkowski Drohobycz, A. Siatka Kraków, S. Karwowski Berlin, H. Tymińska Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, J. Stanisławski Czerniowce, M. Kot Sambor, A. Kosiński Kolbuszowa, J. Solecki Kraków, M. Wyka Rzeszów, R. Madejski Lwów, W. Wojciechowski Czerniowce, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, M. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Częstochowa, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S. Wiewiórowski Warszawa. J. Krawecki Przemyśl, F. Knopf Jarosław, H. Wysoczański Petersburg, H. Scholz Rozdół, A. Dużak Kraków, S. Osadowska Rzeczyca, H. Topolnicki Kamieniec, H. Czyżewska Warszawa, S. Lipski Wiedeń, K. Radoszewski Kolbuszowa, A. Balicki Stanisławów, S. Rogaliński Warszawa, J. Lisowski Krosno, D. Engelberg Rzeszów, A. Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, J. Antosz Kołomyja.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Sikorska Stanisławów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.



Suknia letnia z białej *charmeuse*, przybrana riuszkami.



Suknia spacerowa, przybrana tiulem plisowanym i gazą w kwiaty.

Koniec sezonu.

Zdaje się, że w tym roku lato już nie będzie ładniejszem. Ciągłe deszcze wpływają bardzo ujemnie na rozwój mody, uniemożliwiając noszenie prawdziwie letnich sukien i kapeluszy. Trudno bowiem ubierać się w białe suknie albo tiule wtedy, gdy lada chwila wszystkie te piękności stać się mogą ofiarą ulewy. Przy tem zimna wieczorne wpływają także ujemnie. To też ogólnie zaczynamy już poważnie myśleć o jesieni i cieplejszych ubraniach.

Koniec sezonu letniego, gdyż prawie o takim można mówić, ma jednak jeszcze liczne swoje specyalności. Z powodu zmienności pogody, nowości mody sezonowej nie trwają tego roku dłużej nad cztery tygodnie. Tak jest i z modą „tiulową“, o której niedawno pisałam. Ma ona już rywalkę, i to bardzo poważną, we wstążkach. Widziałam w tych dniach rozliczne nowe zastosowania wstążek do przybrań, mianowicie wolany z wstążek, przybrania kapeluszy upięte ze spadających szerokich wstążek, parasolki zestawione z pasków wstążki, kapuzy i *fichu* z wstążek. Również jako paski używane są szerokie wstążki, na pierwszym planie stoją wzory szkockie.

Z kolorów na pierwszem miejscu przez cały sezon utrzymało się zestawienie biało-czarne, obok niego jednak znalazły uznanie wśród innych także, matowo-różowy, matowo-niebieski, blado-zielony, fioletowy, żółty i szkarłatny. Używane są zwłaszcza kombinacye kolorów, jak np. różowy z zielonym narzutem i żółtawą tiulową tiuniką, albo *vieux bleu* z szarym narzutem i różowymi haftami, wreszcie różowy z czarnym narzutem i blado-żółtymi haftami.

Bardzo ciekawą czarno-białą kombinacyę daje czarna spodnica *charmeuse*, którą pokrywa tiunika biała tiulowa lub koronkowa.

Najnowszem jednak *cri* mody jest zastąpienie tiuniki przez wolan i to bądź spadający jak dzwon, bądź też upięty w fałdach. Jest on często ukośnie upięty, albo też biegnie równo do około, odstając nawet jak krynolina, z drutem w brzegu.

Decolleté przybiera się obecnie stale koronkami lub też lekkiem *plisse* z tiulu.

Dalszą koncesyą na rzecz lata jest stanik bez rękawów, a właściwie pozornie bez rękawów. Górna część ramienia zakryta zostaje rodzajem manteletu tak, że całe krótkie rękawki tiulowe pod nim się kryją. Rzecz prosta, że wtedy nosić trzeba bardzo długie rękawiczki

W dziedzinie pasków obok szarf zaczynają się pojawiać znowu wysokie paski, które robią wrażenie małych kamizelek. Używa się często na ich sporządzenie aksamitu.

Co do rodzaju materyi letnich, to rynek zbytu opanowały materye lekkie, a miękkie, mianowicie: *charmeuse, Voile ninon, moirée, linon, meusseline de soie, satin grenadine, liberty*, koronkowe suknie na koronkowym spodzie, wreszcie najnowsze modne materye przyszłego sezonu, zwane *duvertine* i *Beau de pêche*.

Przybrania sukien są bardzo delikatne i zgrabne. A więc używa się futer i piór do batystów, girlandy z owoców, wreszcie n. p. do tiulowych sukien pereł biało-czarnych.

Na sezon jesienny i zimowy moda zostanie przy małych formach kapeluszy. Kapelusze do kostyumów z *velour* lub *panne* są wązkie, z lewego boku silnie podwinięte, z prawego prawie bez ronda. Wielkie zainteresowanie budzą kapelusze, z tyłu wysoko podwinięte, w stylu Ludwika XVI. Obok nich pokazały się fasony dzwonowe, przybrane kłosami i makami. Zasadniczem przybraniem kapeluszy jest jeszcze tiul.

Pojawiają się także i w tej dziedzinie pewne przesady, więc n. p. kapelusze z podwójnem rondem, *canotier* z falistym brzegiem, duże motyle z dżetów i pereł, fantazye z rozharu, owoce z kwiatami i liśćmi. Zdaje się jednak, że te wszystkie nowe *essay* nie dadzą się długo utrzymać. *W.*



Suknia letnia z czarnej *liberty*, przybrana czarnym tiulem.



Suknia wizytowa, przybrana tiuniką i białem tiulowem *fichu*.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

7

— Dziękuję bardzo, panie dyrektorze — wyszeptała młoda dziewczyna. — Czuję się już lepiej, o wiele lepiej. Śmieszne doprawdy, żeby tak stracić głowę.

— Nic dziwnego, moje dziecko, po takiem przejściu powinnaś jeszcze odpocząć.

— Nie, nie — broniła się Fernanda. — Pan dyrektor za dobry dla mnie. Jestem już silna i natychmiast powrócę do biura. Zajęcie łagodzi moje cierpienie. W domu czuję się gorzej — mówiąc to, powstała i pewnym krokiem, podziękowawszy raz jeszcze dyrektorowi za jego względy, oddaliła się.

Jeżeli Fernanda tak skwapliwie chciała się jaknajprędzej znaleźć przed swoim aparatem, pomimo silnego osłabienia, to jedynie dlatego, iż przed chwilą dobiegł ją stamtąd głos ojca. Fernanda wiedziała, że to nie było złudzenie, głos ten byłaby między tysiącem innych poznała. Ileż to razy ojciec, będąc w Paryżu, z kawiarni jakiej lub restauracyi wzywał ją do telefonu tylko dlatego, aby jej powiedzieć dzień dobry. I teraz ten sam głos poznała, żądający połączenia. Wrażenie było za silne, straciła niestety przytomność, ale obecnie, przygotowana już, śledzić będzie uważnie każdy dźwięk, wydobywający się z aparatu i uczyni to spokojnie i zimno, aby nie wzbudzić niepotrzebnej uwagi.

Najwidoczniej ojciec, zawstydzony atakiem manii, która go nawiedzała, nie ośmielił się powrócić do domu, tylko z nią, Fernandą, chciał się przedtem rozmówić. A może czekać będzie na ulicy, gdy z biura wychodzić będzie.

Cały dzień Fernanda przeżyła w niepokoju i oczekiwaniu, lecz powróciwszy do domu, nie zdradziła się przed matką i siostrą.

Nazajutrz rano, gdy udawała się o zwykłej godzinie na dworzec św. Łazarza, była pod wrażeniem, że spotka ją coś niezwykłego. I rzeczywiście, zaledwie stanęła przy aparacie, rozległ się dzwonek i głos wczorajszy, głos ojca, zażądał połączenia z jedną z większych drogueryi w Paryżu. Fernanda przez chwilę sądziła, że to żart ojca i po raz pierwszy, odkąd pracowała w biurze telefonów, szybko pochwyciła słuchawkę, aby przejąć słowa stron rozmawiających. Spotkało ją rozczarowanie. Mówiono o jakiemś wielkiem zakupnie tranu rybiego. Więc był ktoś w Paryżu, mający głos i sposób mówienia ojca. Prędko pochyliła się nad księgą adresową i wyczytała według numeru nazwisko nowego abonenta, widocznie zapisanego podczas jej nieobecności.

— Jan le Kerlack — przy ulicy Poissonniere, dostawca tranu rybiego.

W Fernandzie obudziło się nagłe pragnienie. Musi jeszcze raz usłyszeć ten głos, poznać tego pana Kerlacka! Następnych trzech dni wolna była do południa. Pod pozorem uczynienia pewnych potrzebnych domowych sprawunków, Fernanda wymykała się do Paryża i wczesnym już rankiem obejmowała posterunek obserwacyjny przy ulicy Poissonniere, naprzeciw domu, zamieszkanego przez Jana Kerlack. Widziała różnych ludzi wchodzących i wychodzących z tego domu, ale który z nich był ten, którego szukała?

Nareszcie trzeciego dnia tej obserwacyi, w chwili gdy już miała udać się do biura, stanęła nagle, jakgdyby wrośnięta w ziemię, z oddechem zamarłym w piersiach.

W głębi bramy dojrzała sylwetkę i choć sylwetka ta tonęła w cieniu, nie omyliło ją przeczucie, bo był to jej ojciec! Pierwszym odruchem jej było przebiedz ulicę i zawołać, dać się poznać, ale powstrzymało ją przypuszczenie, że może ojciec pragnie ukrywać się dalej, nie należało więc go zdradzać.

Ukryła się więc naprzeciw w domu, którego brama tylko w połowie była otwarta i w ten sposób widzieć mogła dokładnie w pełnem świetle wychodzącego człowieka. I natychmiast ogarnęła ją niepewność. — Czy to był naprawdę jej ojciec? Wzrost i tusza były te same, ta sama twarz, oczy, broda. Tylko odmienne było ubranie, a zamiast ulubionego przez ojca Rembrandta, człowiek ten nosił twardy kapelusz.

Przy wyjściu z bramy dobiegł nieznajomego stróż domu i chwilę z nim rozmawiał w postawie pełnej uszanowania.

Nieznajomy szedł teraz wolno ulicą, plecami zwrócony do Fernandy i tak w ruchach przypominał ojca, że uczuła znowu gwałtowne bicie serca i zamęt w głowie. Ale siłą zapanowała nad wzruszeniem. Przebiegła ulicę i stanęła w bramie naprzeciw stróża.

— Czy to pan Jan Kerlack wyszedł przed chwilą z tego domu? — spytała szybko.

— Tak jest, proszę pani, można go jeszcze dogonić.

— Dziękuję panu — szepnęła Fernanda mniej pewnym już głosem, oddalając się w kierunku, w którym szedł „dostawca tranu".

Biegła szybko i wkrótce ujrzała znajomą sylwetkę, posuwającą się równym, kołyszącym się krokiem o kilka kroków przed sobą — Fernanda wyminęła Jana Kerlacka i nagle zawróciła. Oh! teraz będzie mogła mu spojrzeć prosto w twarz! Jan Kerlack szedł, pogwizdując lekko, jak to zwykł był czynić jej ojciec, ale twarz jego w jasnem oświetleniu słońca wydawała się starszą, w brodzie więcej zmierzwionej wiło się dużo srebrnych włosów. I twarz ta nie posiadała tego pogodnego wyrazu twarzy pana Morela i choć usta uśmiechały się, szczególniej na widok przechodzącej ładnej kobiety — uśmiech ten był trochę obcy. Na widok Fernandy oczy Kerlacka zajaśniały zachwytem, posłał jej całusa zgrabnym ruchem ręki i wyszeptał dość głośno, aby być przez przechodzącą dosłyszanym:

— A to dopiero ładna dziewczyna!

Jan Kerlack, dostawca tranu.

— Jak się masz, moja kochanko! — rzekł Jan Kerlack, budząc się nad ranem.

Jan Kerlack nie był żonatym, więc wykrzyknik ten stosował się do jedynej towarzyszki życia — pięknej, wiśniowej fajki, umieszczonej przy łóżku. Jednakże niebieskawe dymy, którymi z namiętnością lubił się otaczać stary kawaler, nie musiały ujemnie wpływać na stan jego zdrowia, bo wygląd miał dość czerstwy, a w dzielnicy, w której mieszkał od pewnego czasu, miano go za wesołego i jowialnego człowieka.

Skąd tu przybył i gdzie przebywał dotąd — o tem nikt nic nie wiedział. Przypuszczano tylko, że musiał odbyć wiele podróży, bo znał prawie wszystkie kraje świata, przytem otrzymywał dzienniki drukowane w różnych językach.

Jan Kerlack, gadatliwy i towarzyski, niechętnie mówił o sobie. Przybywszy do Paryża wynajął ładne mieszkanie przy ulicy Poissonniere, w którem urządził sobie biuro, jednak pracował w niem sam. Sam również zajmował się rozsprzedaniem butelek z tranem rybim, jak utrzymywał bezwonnym i o tak przyjemnym smaku, iż pochłaniany bywał przez dzieci i starszych, jako nadzwyczajny przysmak. A że Jan Kerlack wyleczył był swojego czasu żonę stróża z dotkliwego bólu głowy, sposobem nabytym, jak sam mówił, od sławnego amerykańskiego doktora — więc też i dzielnica cała okrzyczała go mądrym i uczonym człowiekiem. Jan Kerlack jednak miał jedną wadę — lubił kobiety, a szczególniej Paryżanki — od dnia przyjazdu swojego do Paryża zawiązał był kilka flirtów bez znaczenia z pannami z magazynów i kasyerkami sklepów, do których dostarczał swój „bezwonny tran", ale małżeństwa obawiał się i bronił dotąd przed niem dzielnie.

Ostatnim jego flirtem była panna od telefonu. Nie widział jej nigdy i prawdopodobnie nigdy nie ujrzy, ale głos jej brzmiał tak sympatycznie przez aparat, że nie mógł się wstrzymać, aby jej nie powiedzieć kilka komplementów dziennie, żądając równocześnie od niej połączenia z potrzebnym numerem.

Lecz coraz częściej męczyło go pragnienie, nie poprzestania na tym flircie przez telefon. Gdyby tak mógł się dowiedzieć, która to i oczekiwać przed biurem, gdy wieczorem wychodzić będzie? A jeżeli to naprawdę jakie miłe i dobre dziecko, mające już narzeczonego? Należało być ucziwym i pamiętać o siwiejącej brodzie i zmarszczkach na czole.

Oh! gdyby Jan Kerlack był wiedział, z jakiem utęsknieniem i niepokojem oczekiwano jego słów i jakie wzruszenie wywoływał jego głos w duszy panny od telefonu!

Gdyby był wiedział, że ta ładna, zgrabna brunetka, którą spotykał co kilka dni, wychodząc rano ze swojego domu, była właśnie tym flirtem!

Długo namyślał się Jan Kerlack, zanim powrócił do Paryża, do tego Paryża, którego zaułek każdy tak dobrze był mu znanym, jeszcze z czasów pierwszej młodości. A jednak dotąd nie odwiedził jeszcze wszystkich dzielnic. I nigdy nie zapuścił się w poszukiwaniu klienteli w północną część miasta, ani w stronę ogrodu Botanicznego i Luwru.

Ale wkońcu sam zaczął się wstydzić tej ostrożności. Jeżeli istniało dla niego jakie niebezpieczeństwo, to tak samo spotkać go mogło w tamtych częściach miasta, jak i w dzielnicy Łacińskiej.

A dzielnicę Łacińską ujrzał był zmienioną do niepoznania. Zmiany te potrosze cieszyły go, bo był człowiekiem postępu, a jednak nie mógł oprzeć się przykrej melancholii, gdy uświadomił sobie zaniknięcie kilku ulic i domów o przestarzałej strukturze! Nie odnalazł już piwiarni „Ojca Okularnika", gdzie niekiedy w towarzystwie kolegów przesiedział do białego dnia i skąd prosto, w zanadto jeszcze dobrym humorze, udawał się na wykłady do kliniki, ani kawiarni „Matki Michand", gdzie mu szklankę grzanego wina podawała niezapomniana gryzetka Liza, bóstwo wszystkich studentów!

Wszystko uległo zmianie! Więc i on zmienić się musiał. Mógł więc teraz spokojnie chodzić po tych ulicach, zatopiony myślami o wspomnieniach młodości!

I wkońcu Jan Kerlack odważył się zapuścić na bulwar św. Michała, a stamtąd na ulicę, gdzie mieściła się klinika. Przystanął raz na chwilę przed

wystawą fabrykanta narzędzi chirurgicznych i z radością zauważył, że ten, który właśnie stał na progu sklepu, nie poznał go. A przecież ileż razy mówił z nim! Nabrał więc odwagi i szedł dalej. Spotkał kilku starych profesorów, którzy nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi i to go uspokoiło do reszty. Zaczął też zaraz żałować, że nie zamieszkał w dzielnicy Łacińskiej, choć to mógł być krok zanadto ryzykowny!

Aż dnia jednego postanowił uczynić ostateczną próbę. Udał się do pałacu sprawiedliwości i przeszło godzinę spacerował po długich, wąskich korytarzach i salach, ocierając się o znajomych mu dawniej sędziów, adwokatów, ajentów i policyantów. Nikt go nie poznał. Nawet Le Cordelay, z którym żył w tak bliskich stosunkach. Przechodząc koło Kerlacka, założył tylko monokl na oko, aby się lepiej przyjrzeć temu nieznajomemu, który w zuchwały sposób wlepiał w niego oczy. A ten stary pisarz sądowy, który tak często wywoływał jego nazwisko — no, nie nazwisko Jana Kerlacka, tylko imię! Zmiana nazwiska jest niekiedy koniecznością!

Także go nie poznał. Popatrzył chwilę wybladłem okiem i powrócił do swojego zajęcia!

Wychodząc z pałacu sprawiedliwości Jan Kerlack miał ochotę zatańczyć cake-walk'a na ulicy. Poczciwy Paryż! Mógł bezpiecznie żyć sobie w nim do woli!

Ale Jan Kerlack przekonał się chwilę później, że nigdy nie należy cieszyć się zawcześnie.

W chwili, gdy wchodził do Sainte Chapelle, zapominając o bliskiem sąsiedztwie więzienia Sourisiere, uczuł jak ręka jakaś spoczęła na jego ramieniu. Panem le Kerlack wstrząsnął dreszcz mimowolny, ale na szczęście usłyszał wymówione słowa twardym brytańskim akcentem:

— Przepraszam pana, czy to naprawdę więzienie tam naprzeciwko — Jak się ono nazywa?

— Zdaje mi się, że Sourisiere — odpowiedział Kerlack, oddychając głęboko.

Osoba, która go zaczepiła, miała się już oddalić, gdy nagle podsunęła twarz tuż pod oczy Kerlack'a i zawołała zdziwiona:

— Oh! oh! a to zabawne, mister Piotr Sebonnier! o ile mnie pamięć nie myli!

Kerlack spojrzał uważniej. Tak, nie było wątpliwości. Przed nim stała miss Ewelina Goldenspeech i zamaszyście potrząsała jego dłonią.

— Wybacz mi miss, proszę. Nie poznałem od razu!

— Ho! ho! i spotykamy się znowu w Paryżu! Jestem bardzo szczęśliwa mister Sebonnier, bardzo szczęśliwa!

Jan Kerlack niespokojnie spojrzał wokoło siebie. Ale nikogo podejrzanego nie było w pobliżu, mógł więc bez zwrócenia uwagi rozmawiać dalej ze starą Angielką.

— Czy pan zawsze utrzymuje stosunki z „Oriental Chiniese Company? — pytała miss Ewelina.

— Mniej więcej — odpowiedział Kerlack wymijająco — lubię zawsze zmianę.

— To bardzo dobrze. Jak tylko wstąpiłam na pokład okrętu, udając się z moją uczennicą do Europy, pytałam o pana, bo powracałam tym samym okrętem, który mnie wiózł do Indyi, na którym miałam przyjemność pana poznać. A ja jestem pewna, że pan nawet nie pomyślał o mnie.

— Widzi pani przecież, z jaką radością witałem panią.

— Tak się to mówi, a inaczej myśli. To wada Francuzów. Ale ja nie zapomniałam dotąd przysługi, jaką mi pan oddał wówczas i szczęśliwą się czuję, że raz jeszcze mogę panu podziękować, mister Sebonnier. Pamięta pan, jak lekarz okrętowy utrzymywał, że jestem starą waryatką i że newralgie nie są do uleczenia. A przecież mnie pan z nich uwolnił. Ale teraz znowu te okropne newralgie powracają i będę zmuszona prosić pana o te same lekarstwa, które mi pan wtedy przynosił. A w jakim hotelu zamieszkał pan, mister Sebonnier?

— Oh! nie znalazła by mnie pani w żadnym — rzekł żywo Kerlack.

— Jak to? A chciałam bardzo... bo przecież honoraryum lekarskiego dać panu nie mogę, skoro twierdzi pan zawsze, że nie jest doktorem. Ale mężczyzna może zawsze przyjąć pudełko cygar — Jakie pan lubi? Hawańskie?

— Przyjmę od pani tylko przyjacielski uścisk dłoni, miss Ewelino.

— Oh! mister Sebonnier, jesteś prawdziwym dżentelmanem — zawołała wzruszona Angielka. — Nie pogniewasz się na mnie, gdy cię poproszę o zapisanie mi w tym notesie recepty na ten cudowny środek przeciw newralgii? Bo skoro się już ujrzeć nie mamy.

— Z całą przyjemnością, miss Ewelino.

Ciąg dalszy nastąpi.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożyła Panna, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam imię i nazwisko polskiego nowelisty.

— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Jeden z ważnych produktów rolnych. 2. Przetwór chemiczny, codziennie używany. 3. Taniec. 4. Powieść Prusa. 5. Choroba zakaźna. 6. Pragnienie rolnika. 7. Uczta. 8. Sprzęt domowy. 9. Szpital. 10. Pamiętnikarz polski. 11. Imię żeńskie. 12. Powieściopisarz polski. 13. Zbiornik na wodę. 14. Imię żeńskie (używane na wsi). 15. Rosyjski wózek.

Łamigłówka.

Ułożył M. Bański, Liszki.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko obecnej pory.

— ola
— nam
— ora
— gła
— aro
— rau
— awa
— ron

Szarada.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Pierwsza wśród cudnej natury
Odbija niebios lazury...
Od sąsiednich gór podnóża
Uchodzi ku głębiom morza,
By w tęczowym ich krysztale
Pogrążyć swe modre fale!
Co zaś do *drugiej i trzeciej,*
Wiadomo każdemu przecie,
Że właściwość jej natury
Kręte linie i kontury...
Całość bardzo pospolita:
Pierwsza z roślin wiosnę wita
I ostatnia wśród traw znika
W samym końcu października.

Bilety wizytowe.

Ułożył W. M. Wadowice.

Z liter na biletach ułożyć kraj i miejsce zamieszkania poszczególnych osób.

MARYA SARA FYLINC

ADELA AURORA H. WYSTĘGK

ADELA SARA HAUTYK

Szarada.

Ułożył Sokrates, Nowy Sącz.

Wprost lekarstwo znane,
Wspak w sporcie używane.

Łamigłówka literacka.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Znaleźć nazwiska autorów podanych dzieł. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą tytuł utworu H. Piątkowskiego.

Nieoswojone ptaki?
Mgławica?
Wielkie łowy?
Na szczytach?
Wiatronogi?
Polubowna ugoda?

REBUS.

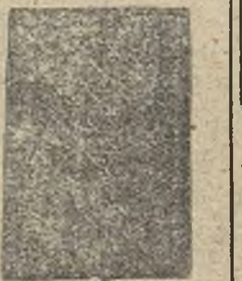


Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Karola Maya:* **W Kordylierach.** Powieść podróżnicza.

Oprawy książek.

Sztuka drukarska, kiedy rozwinęła się na tyle, że można przy jej pomocy drukować wielkie dzieła, pociągnęła za sobą także rozwój sztuki introligatorskiej. Sztuka ta dawniej już była uprawiana na szeroką skalę. W dawnych klasztorach Benedyktynów, Cystersów i innych gromadzono olbrzymie biblioteki, które miały cenne dzieła pisane na pergaminie, ozdobne w przepiękne i kosztowne oprawy. Były one często robione na deskach a na wykończenie ich używano skór, złota, srebra, drogich kamieni i t. p. cennych przyborów.





Sztuka introligatorska rozwijała się też równomiernie z postępem sztuki drukarskiej, a wspaniałość zdobnictwa nie tylko nie zmniejszyła się z biegiem lat, ale dzisiaj również doskonale wypełnia swe zadanie.

Dzisiaj nie ma już tych wielkich introligatorni klasztornych, które pracowały w wiekach średnich. Natomiast rozwijają się doskonale i pracują zakłady introligatorsko-galanteryjne, które pod względem doskonałości wyrobów starają się współzawodniczyć z owymi starymi a wspaniałymi wzorami.





Na pierwszy plan wybiją się oprawy mszałów i książek do nabożeństwa. Wyroby wychodzące z introligatorni krakowskich, uzyskały już sobie pod tym względem znaną markę w świecie i rozchodzą się szeroko. Wśród pracowni krakowskich na pierwszy plan wybija się znany

Zakład galanteryjno-introligatorski, Roberta Jahody

mieszczący się we własnym domu przy **ul. Gołębiej l. 4.** Zakład ten rozwinął swoją działalność na polu specyalnie oprawy książek doskonale i zyskał już kilkakrotnie zaszczytne odznaczenia na wystawach, specyalnie za oprawę książek.

Podajemy dzisiaj szereg illustracyi, przedstawiających oprawy książek do nabożeństwa, wykonane w zakładzie galanteryjno-introligatorskim **Roberta Jahody w Krakowie, ul. Gołębia l. 4.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.